
PRZEWODNIK SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY

SPRAWOM SPOŁECZNO - OŚWIATOWYM

WYDAWCA: KATOLICKA SZKOŁA SPOŁECZNA W POZNANIU

NR 4

KWIECIEŃ 1938

ROK XIX

TREŚĆ

ROZPRAWY

- Ks. Dr E. Kozłowski. Na czym polega obecna niesprawiedliwość
w podziale dochodu społecznego? 113

DZIAŁ ORGANIZACYJNY

- Józef Chmara. Spółka zarobkowa w świetlicy dla bezrobotnych . . 121

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

- Ustanowienie Centralnego Urzędu Akcji Katolickiej 125
Z działalności Komitetu do Spraw Kultury Wsi 125
Z terenu pracy uniwersytetów powszechnych 126
Z problemów pracy świetlicowej na wsi 127
Religijność robotnika na paryskim przedmieściu 128

DZIAŁ RECENZYJNY

- Z zagadnień przodownictwa w Akcji Katolickiej 129

DODATEK: WYKŁADY I ODCZYT

- J. K. O cierpieniu 131
M. Niesiołowska. Nowe matki 135
K. Bołączki polskiej wsi 140

Redaktor: Ks. Dr Edward Kozłowski.

Adres Redakcji i Administracji:

Poznań, Podgórna 12 b I, Telefon 15-14, P. K. O. 202 932.

Abonament kwartalny wynosi 5,— zł. Cena zeszytu 1,75 zł. Opłatę
można najwygodniej uiścić
za pomocą przekazu rozrachunkowego lub wpłaty na nasze konto w P. K. O. Poznań 202 932

Dawniejsze roczniki „Przewodnika Społecznego“ można nabyć w cenie: r. I—V po 10,— zł,
r. VI—XI po 15,— zł, XII—XVIII po 20,— zł.

Całoroczni abonenci otrzymają na roczniki te 40% opustu.
Na życzenie dostarcza się roczniki oprawne.

Ks. Dr E. Kozłowski

NA CZYM POLEGA OBECNA NIESPRAWIEDLIWOŚĆ W PODZIALE DOCHODU SPOŁECZNEGO?

Wynikiem gospodarki społecznej jest pewien dochód, tzw. dochód społeczny. Ten dochód społeczny należy się z natury rzeczy tym, którzy go stworzyli, tj. którzy w odnośnym procesie gospodarczym w ten lub ów sposób brali udział. Tymczasem w ustroju kapitalistyczno-najemniczym, w jaki ujęta jest gospodarka społeczna naszych czasów, dwa są główne czynniki procesu gospodarczego: kapitał i praca. Tym dwom czynnikom więc zasadniczo przypada czy przynależy się dochód społeczny. Swój udział w dochodzie społecznym realizuje kapitał w postaci procentu a także zysku przedsiębiorcy, praca zaś w postaci płacy. Powstaje jednak problem, jaka część tego dochodu społecznego powinna przypaść kapitałowi, jaka zaś pracy. Jest to problem arcyważny, decydujący nawet. Stanowi on bowiem, można śmiało powiedzieć, jądro całej kwestii społecznej.

Problem ten nie istnieje jednak dla ekonomii liberalnej. Stoi ona bowiem na tym stanowisku, że oba czynniki otrzymują swój udział w dochodzie społecznym odpowiednio do usług, jakie oddawają w ciągu odnośnego procesu gospodarczego i to na skutek samorzutnego podziału, wynikającego z działania naturalnych praw gospodarczych.

Kto jednak odrzuca bezwzględność działania naturalnych praw gospodarczych i ich automatyzm, jak to czyni katolicka nauka społeczna, dla tego ten problem odpowiedniego czyli sprawiedliwego podziału dochodu społecznego powstaje w całym ogromie swego ciężaru i każe szukać dróg i sposobów do swego rozwiązania. Powiada Quadr. Anno: „Nie każdy podział dóbr materialnych i bogactw między ludzi pozwala jeżeli nie w całości, to w granicach ludzkiej możliwości osiągnąć cel przez Boga zamierzony”, tj. pożytek wszystkich. Toteż ten problem podziału dochodu społecznego stanowi jeden z głównych rozdziałów katolickiej nauki społecznej, zaznacza się też bardzo wyraziście na kartach encyklik społecznych.

Katolicka nauka społeczna badając ten problem stwierdza nasamprzód jedno: dotychczasowy podział dochodu społecznego nie dokony-

wał się według zasad sprawiedliwości, bo dawał przywileje kapitałowi, a upośledzał, krzywdził pracę. Wyrazem tych poglądów jest przede wszystkim encyklika „Quadragesimo Anno”, która wydaje taki sąd: Bogactwa, tak obficie w naszym okresie „industrializmu” wykonane, nie są sprawiedliwie rozdzielane i nie według zasad słuszności przydzielane poszczególnym warstwom społecznym”. Mówi ona również „o bardzo poważnych brakach podziału dochodu społecznego”. Wysuwa więc ten postulat, by „przynajmniej w przyszłości dokonywał się sprawiedliwszy podział dóbr wytworzonych tak, by tylko w słusznej mierze gromadziły się w rękach ludzi bogatych, a natomiast by dość szerokim strumieniem rozchodziły się wśród pracowników”. Tym samym encyklika stwierdza również, że ten obecny podział dochodu społecznego upośledza, krzywdzi pracę. Ten sam pogląd wyraża ona również, gdy swe negatywne stanowisko wobec dotychczasowego podziału uzasadnia jego skutkami. Niesłuszności bowiem dotychczasowego podziału udowadnia według encykliki „sam już fakt że z jednej strony jest taka olbrzymia liczba ludzi bez własności, a z drugiej małe koło jednostek bogatych”, czyli „przepaść między garścią przebogatych a masą biednych”.

Przy podziale dochodu społecznego narusza się więc często zasady sprawiedliwości i to na niekorzyść czynnika pracy, stwierdzić to przyszło nam łatwo. Na czym jednak polega ta niesprawiedliwość obecnego podziału dochodu społecznego?

Jest to jednak kwestia o wiele trudniejsza do rozwiązania. Stwierdza to również Pius XI w „Quadragesimo Anno”, gdy w sprawie płacy, która jest przecież formą udziału czynnika pracy w dochodzie społecznym, potępia, powołując się na Leona XIII „lekkomyślność tych, którzy to bardzo poważne zagadnienie chcą rozwiązywać lekko przez zastosowanie jednej jakiejś zasady lub formuły, i to jeszcze dalekiej od prawdy”. W związku z tym wyjaśnia, przytaczając odpowiednie słowa Leona XIII, że zagadnienie to „trzeba zbadać nie z jednego punktu widzenia, ale z wielu”.

W każdym razie więc nie można ustalić jakiegoś mechanicznego schematu obliczeniowego, czyli jak mówi nauka, algorytmu dla podziału dochodu społecznego między oba czynniki procesu gospodarczego. Możliwość taką encyklika „Quadragesimo Anno” odrzuca. Podaje ona tylko

ogólną zasadę ideową czy moralną, która ma służyć jako wytyczna dla sprawiedliwego podziału dochodu społecznego. Powiada mianowicie: „Taki winien być udział jednostek i klas społecznych w bogactwach, które dzięki postępowi społeczno-gospodarczemu stale wzrastają, by był zapewniony, przez Leona XIII podkreślony, pożytek wszystkich, albo, innymi słowami, by była w całej pełni przestrzegana zasada dobra wspólnego”.

Tym samym stawia Ojciec św. cały problem etyczny podziału dochodu społecznego nie tylko w platformie sprawiedliwości wymiennej, z którego to stanowiska ujmował go głównie Leon XIII, ale także na platformie sprawiedliwości społecznej; na innym bowiem miejscu tej samej encykliki mówi jeszcze: „Celem, do którego dążyć należy, jest uzgodnienie podziału dóbr stworzonych z dobrym wspólnym czyli z zasadami sprawiedliwości społecznej”. Wyjaśnienie istoty tej sprawiedliwości społecznej, która jest w pewnej mierze pojęciem nowym, podsuwa już ten ustęp; dokładniejsze jej określenie daje nam Pius XI w późniejszych swych encyklikach „Divini Redemptoris”, gdzie pisze, że sprawiedliwość społeczna polega na tym, że domaga się od jednostki tego, co służy dla dobra ogółu”, i „Nos es muy conocida”, która tłumaczy, że „stosowanie sprawiedliwości społecznej to stosowanie tych środków, które zmierzają do podniesienia proletariatu”. Ta ostatnia definicja specjalnie więc wiąże ten rodzaj sprawiedliwości z sprawą podziału dochodu społecznego przy wyraźnej tendencji obrony czynnika pracy. Zresztą już przed encykliką „Nos es muy conocida” wyrabiał się pogląd, że ta cnota postulatów swe ogranicza do problemu podziału dochodu społecznego.

Już to samo ujęcie tego problemu na tle postulatów dobra powszechnego wykazuje jego zawiłość, skomplikowanie, co każe szukać specjalnych dróg przy jego roztrząsaniu.

Dlatego podejmujemy go nasamprzód z strony negatywnej, tj. ustalamy, stwierdzamy wpierw, na czym nie polega obecna niesprawiedliwość podziału dochodu społecznego. Pytanie to o wiele łatwiej można rozstrzygnąć, bo wyraźne i konkretne mamy pod tym względem autorytywne określenia i pouczenia.

Tak nie można więc łączyć niesprawiedliwości obecnego podziału dochodu społecznego z ustrojem kapitalistyczno-najemniczym, jako takim, wywodzić tej niesprawiedliwości z jego istoty. Nie można więc robić zarzutu niesprawiedliwości całej instytucji płacy jako formy udziału

czynnika pracy w dochodzie społecznym. Stwierdza bowiem „Quadragesimo Anno”, że „ustrój ten sam z siebie nie zasługuje na potępienie i rzeczywiście nie jest on z natury zły”. Podobnie na innym miejscu tej encykliki czytamy: „Niedorzecznością jest utrzymywać, że umowa o najem pracy jest sama w sobie niesprawiedliwą”.

Nie jest również niesprawiedliwy ten podział dochodu społecznego, który uwzględnia inne czynniki poza pracą. Wynika to już z samego prawa każdego czynnika procesu gospodarczego do udziału w dochodzie uzyskanym przez ten proces gospodarczy. Toteż odrzuca „Quadragesimo Anno” te poglądy, które zwalczają „wszelkie dochody nie pochodzące z pracy bez względu na ich rolę w życiu społecznym, z tego tylko powodu, że są dochodami bez pracy”. Kapitałowi i własności nie można więc odmawiać praw do udziału w dochodzie społecznym. Z drugiej jednak strony, nie zawsze dochód bez pracy jest usprawiedliwiony.

W związku z tym nie można do nieusprawiedliwionych dochodów zaliczać zysku przedsiębiorcy. „Quadragesimo Anno” uznaje bowiem za „fałszywą zasadę moralną” ten pogląd, że „wszystkie owoce produkcji i wszystkie zyski z wyjątkiem tych, które są potrzebne do utrzymania i odświeżenia kapitału, należą się sprawiedliwie robotnikom”. Tym samym zaś uznaje, że nie cała część dochodu, która pozostaje po odpowiednim zaopatrzeniu kapitału zakładowego i obrotowego, należy się czynnikowi pracy, tj. może do pewnego przydziału z niej podnosić słuszne pretensje także przedsiębiorca.

Z tych to racji nie możemy problemu sprawiedliwego podziału dochodu społecznego rozwiązywać na tle teorii „prawa do pełnego wytworu pracy”. Zresztą encyklika, „Quadragesimo Anno” nie odrzuca możliwości powstania problemu podziału dochodu społecznego z krzywdą czynnika kapitału. Uznaje ona bowiem za sprzeczne z postulatami sprawiedliwości tendencje do wykluczenia z udziału w dochodzie społecznym kapitału lub też ograniczenia tego udziału do rozmiarów, które by uniemożliwiały należyte jego podtrzymanie, jak o tym co dopiero mówiliśmy. Dotychczas tendencje te nie znalazły wyrazu w praktyce, lecz ich realizacja, przynajmniej przejściowa, nie jest wykluczona, bo napór na kapitał jest bardzo silny, jakkolwiek dotychczas z pełnym powodzeniem umiał tenże go odpierać. Nawiasem dodaję, że nie wierzę w możliwość dłuższego takiego upośledzenia kapitału przy zachowaniu zasad ustroju kapitalistyczno-najemniczego, gdyż życie tego nie wytrzyma. Nie tak ma się jednak w wypadku upośledzenia pracy. Można powiedzieć, że kapitałem i pracą pod tym względem inne prawa rządzą.

Wracając do sprawy udziału pracy w dochodzie społecznym ze strony negatywnego ujmowania problemu niesprawiedliwości, trzeba i to jeszcze wysświetlić, że nie można uważać za niesprawiedliwy tego przydziału dochodu społecznego pracy, który nie bierze względu na każdorazowe lub ogólne wyniki działalności gospodarczej, lecz wymierza jej jakąś stałą, niezmienną część. Znaczy to, że postulat sprawiedliwego podziału dochodu społecznego, nie idzie w tym kierunku, by praca swoją część w nim miała uzupełniać w postaci udziału w zyskach pod najróżniejszą formą.

Takie stanowisko każe nam zajmować „Quadragesimo Anno”, gdy poucza że „niedorzecznością jest utrzymywać, że umowa o najem jest sama w sobie niesprawiedliwa i że w jej miejsce wprowadzić należy umowę spółkową”. Wprawdzie uważa ona „za bardzo wskazane, by umowa o najem pracy była w granicach możliwości uzupełniana umową spółkową”. Lecz jest to tylko zalecenie, rada Ojca św., której celem jest lepiej dostosować do wymogów słuszności udział pracy w dochodzie społecznym, nie posiada jednak charakteru postulatu bezwzględnego, dyktowanego przez cnotę sprawiedliwości. Udział w zyskach więc według myśli Piusa XI wychodzi ponad postulaty tej cnoty, co sprowadza pewną korekturę przydziału części dochodu społecznego pracy w postaci płacy, ale nie jest nieodzownym warunkiem sprawiedliwego podziału tego dochodu. Płaca sama bez żadnych uzupełnień zmiennych przez udział w zyskach może czynić zadość tej cnocie, udział jednak w zyskach tę sprawiedliwość lepiej zabezpieczy i zapewni. Nawiasem dodam, że jakkolwiek teoretycznie bardzo pociągająca jest sama idea udziału w zyskach, to jednak praktyka wykazała, że nie można do niej przywiązywać większych nadziei. Doświadczenia poczynione pozwalają stwierdzić, że korzyści praktyczne z tego systemu — bo jest on stosowany tu i owdzie — ma praca niewielkie. Jeżeli „Quadragesimo Anno” mówi, że ten udział w zyskach „już w różnych formach zaczęto praktykować z niemałym pożytkiem zarówno pracowników, jak właścicieli”, to wchodzi głównie w rachubę korzyści moralne, mniej zaś materialne, tj. wynikające z korektury podziału dochodu społecznego.

Tak przedstawia się sprawa niesprawiedliwości obecnej w podziale dochodu społecznego z swej strony negatywnej.

Podjmując ją zaś teraz ze strony pozytywnej, musimy wyjść z tej wytycznej, jaką pod tym względem przynosi nam również encyklika „Quadragesimo Anno”. Stwierdziwszy bowiem, że „bogactwa, tak obficie w naszym okresie industrializmu wytwa-

rzane, nie są sprawiedliwie rozdzielane i nie według zasad słuszności przydzielane poszczególnym warstwom społecznym", wysuwa ona taki postulat: „Dlatego z całą stanowczością i usilnością należy w tym kierunku zdążyć, by przynajmniej w przyszłości dokonywał się sprawiedliwszy podział dóbr wytwarzanych tak, by tylko w słusznej mierze gromadziły się w rękach ludzi bogatych, a natomiast by dość szerokim strumieniem rozchodziły się wśród pracowników”.

Jest to zasada bardzo ogólnie podana. Na tle tej ogólnej zasady można jeszcze umieścić kilka szczegółowych określeń encyklik, więcej pośrednio z tym problemem związanych, które dają nam już pewną, choć również dość ogólnikową orientację, co do tego, jaki podział dochodu społecznego czynnikowi pracy jest niesprawiedliwy. Mimo to jednak, jak już na wstępie zaznaczono, stwierdzenie dokładne, konkretne niesprawiedliwego podziału dochodu społecznego jest sprawą bardzo zawiłą i nie może dać rezultatu, który by rozwiązywał wszelkie pod tym względem pytania.

Rozpatrzmy więc sobie dokładniej nasamprzód dla zdobycia pewnych ściślejszych wskazań co do tej sprawy, oną ogólną wytyczną encykliki „*Quadragesimo Anno*” o zasadach podziału dochodu społecznego między kapitał i pracę. Mówi ona że dobra wytwarzane „tylko w słusznej mierze mają się gromadzić w rękach ludzi bogatych”, tj. kapitału, jak to wyrażniej z łacińskiego tekstu wynika „*qui opibus valent*”, jak i domaga się „by dość szerokim strumieniem rozchodziły się wśród pracowników”. Trzeba więc starać się sprecyzować z jednej strony ową „słuszną miarę” dla ludzi bogatych, z drugiej zaś „szeroki strumień” dla pracowników i pociągnąć między jedną a drugim jakąś linię podziałową. Przesunięcie tej linii podziałowej będzie oznaczało naruszenie sprawiedliwości.

Co jest słuszną miarą dla ludzi bogatych, tj. kapitału, wiemy mniejwięcej zasadniczo z pierwszej części tych wywodów, gdyśmy rozpatrywali problem niesprawiedliwości obecnego podziału dochodu społecznego ze strony negatywnej. Stwierdziliśmy tam, że kapitał ma prawo nie tylko do odpowiedniego oprocentowania, ale także do możliwości tworzenia pewnych rezerw dla swego należytego podtrzymania, jak i przedsiębiorca prawo do zysku. Co po zaspokojeniu tych pretensji pozostaje, należy się pracy.

Lecz jak daleko mogą iść te pretensje kapitału a zwłaszcza przed-

siębiorcy do zysku? Tu znów granice wyznacza ten „szeroki strumień” dochodu, mający się rozpylić wśród robotników.

Otóż dla określenia rozmiarów tego „szerokiego strumienia” takie mamy wskazania i linie wymiarowe.

Pracy należy się nasamprzód więcej niż mu chce dać tzw. spiżowe prawo płacy Ricarda i Lassalla. Udział pracy w dochodzie społecznym winien wykraczać poza granice, jakie wyznacza wysokość kosztów reprodukcji sił roboczych. Taką zasadę ustala „Quadragesimo Anno”, gdy stwierdza, że „przez długi czas zabierał kapitał dla siebie za wiele korzyści” dlatego, bo „zagarniał cały wynik produkcji i wszystkie jej owoce a robotnikowi zostawiał zaledwie tyle, ile mu trzeba było koniecznie na utrzymanie i odświeżenie sił”. Tymi słowami więc encyklika przekreśla niejako granicę kosztów reprodukcji sił roboczych dla wymiaru udziału pracy w dochodzie społecznym.

Jak wielki jednak winien być odstęp od tej granicy? Otóż odstęp ten jest wymierzony tymi potrzebami, których zaspokojenie ma zapewnić jeszcze poza bezpośrednimi kosztami utrzymania pracującego i jego rodziny płaca.

Nasamprzód więc rozmiary tego odstępu określa ten postulat encykliki „Quadragesimo Anno”: Tak należy dobra wymierzać, by człowiekowi wystarczyły nie tylko na zaspokojenie konieczności życiowych i potrzeb pewnej godności, ale także by mu pozwoliły wznieść się na wyższy stopień dobrobytu i kultury, który — pod warunkiem roztropnego korzystania z nich — nie będzie przeszkadzał cnocie, ale ją owszem ułatwi. Podział więc w dochodzie społecznym winien zapewnić wszystkim uczestnikom procesu gospodarczego względny dobrobyt i w związku z tym odpowiedni poziom życia kulturalnego, zależnie od ich roli społecznej. Jeżeli więc właściciel kapitału czy też przedsiębiorca taki mają udział w dochodzie społecznym, że nie odczuwają żadnych trudności w gromadzeniu odpowiednich rezerw kapitałowych oraz zaspokajanie swych potrzeb kulturalnych, z drugiej zaś strony pracownikowi starczy ledwo na skromniutki kawałek chleba, to linia podziałowa zbyt daleko została przesunięta w stronę pracy, zwięża zbyt jej udział, tj. narusza postulat sprawiedliwego podziału. Postulat ten domaga się w takim wypadku przesunięcia tej linii podziałowej w stronę kapitału i przedsiębiorcy, każe zwłaszcza zysk przedsiębiorcy ograniczać, bo kapitał potrzebuje, że się tak wyrażę, pewnej obsługi, jakkolwiek jakieś obarczenie i jego udziału w dochodzie społecznym winno być wynikiem tego przesunięcia.

Odstęp jednak wywołany tymi potrzebami względnego dobrobytu i odpowiedniego poziomu życia kulturalnego u wszystkich uczestników procesu gospodarczego jeszcze nie zupełnie wystarcza, by sprawiedliwie dochodem społecznym obdzielić świat pracy. Rozszerza ten odstęp bowiem w stronę kapitału i przedsiębiorcy domaganie się „*Quadragesimo anno*”, idącej tu za „*Rerum novarum*”, że ten „szeroki strumień” dochodu społecznego, rozchodzącego się wśród pracowników winien być tego rodzaju, by ci „pomnożyli swe mienie przez oszczędność, żeby nim rządząc rozsądnie ułatwili sobie i zabezpieczyli zaspokojenie potrzeb rodzinnych, a wreszcie, żeby wyzwoliwszy się z niepewności warunków życia proletariackiego, nie tylko mogli oprzeć się bieżącym trudnościom, ale i pewność osiąść, że umierając zostawia swoich bliskich z odpowiednim zaopatrzeniem”. Odstęp więc od granicy kosztów reprodukcji sił roboczych w udziale pracy winien i dla tych oszczędności mieć dość miejsca. Jeżeli tak szeroki on nie jest, a z drugiej strony kapitał i przedsiębiorca w całej pełni są zaspokojeni, wtedy linia podziałowa dochodu społecznego krzywdzi pracę.

A wiemy, że w obecnych czasach ten odstęp jest na ogół znacznie węższy, niż na to powyższe dwa postulaty pozwalają. I na tym polega obecna niesprawiedliwość podziału dochodu społecznego. Takie jest ogólne rozwiązanie tego problemu.

Chodzi więc o to, by ta linia podziałowa, o której mówiłem, znajdowała się w właściwym miejscu. Nad tym, by ona w właściwym miejscu przechodziła, czuwać jest rzeczą z jednej strony państwa, z drugiej zaś związków zawodowych. Najważniejsze jednak jest, by o to utrzymania jej na właściwym miejscu kazało kapitałście i przedsiębiorcy troszczyć się ich własne sumienie. Rozumiemy więc, dlaczego „*Quadragesimo anno*” uważa za główne zło naszych czasów spustoszenie dusz, dlaczego zwraca uwagę na to, że „przed tym upragnionym odnowieniem ustroju społecznego dokonać się musi odrodzenie ducha chrześcijańskiego, z którym zerwało wielu ludzi działających na terenie gospodarczym”.

Nie wiele tu powiedziałem co do właściwego swego tematu. Lecz też niewiele też tu jeszcze powiedzieć można. Jest to problem prawie niezbadany przez katolicką naukę społeczną. I właśnie impuls do jego podjęcia daje encyklika „*Quadragesimo anno*”. Oby utorowała ona drogę nie tylko do jego pełnego teoretycznego wyjaśnienia, ale także do praktycznego rozwiązania!

SPOŁKA ZAROBKOWA W ŚWIETLICY DLA BEZROBOTNYCH

Pewno nie trzeba specjalnie tłumaczyć, że poniższe uwagi stanowią drugą część doświadczeń w świetlicy dla bezrobotnych (patrz: Przewodnik Społeczny, marzec 1938 r.). Chodzi dzisiaj o zdanie sprawy z pewnego eksperymentu, który — w zamierzeniach młodego kierownika świetlicy — miał dać świetliczanom po pierwsze: pewne doraźne korzyści materialne, po drugie: miał dać pilniejszym świetliczanom pewne przeszkolenie zawodowe, które by bezrobotnemu umożliwiło łatwiejsze wykonywanie w przyszłości zdobytej pracy, po trzecie: miał się przyczynić do wytworzenia w świetlicy pewnej wspólnoty, która z kolei miała stać się zalążkiem spółdzielni zarobkowej.

Kiedy projekt został po raz pierwszy wysunięty w małym gronie świetliczan, spotkał się z całkowitą aprobatą. Okazało się, że niektórzy świetliczanie już o czymś podobnym myśleli (bezrobotni miewają bardzo dużo projektów podobnie jak młodzież!), inni zaś posiadali pewne doświadczenia z świetlicy powstańców i weteranów. Świetlica ta w okresie, o którym tu mowa, niestety już dawno nie istniała i — mimo poszukiwania, nie można było odszukać jej byłych kierowników, którzy by mogli służyć radą i własnym doświadczeniem.

Po kilkakrotnych dyskusjach w małym gronie, gdy „projekt” po cichu obleciał już wszystkich świetliczan, gdy pomiędzy sobą już go omawiano, wypłynął od kierownictwa pod dyskusję ogólną świetlicy. Nie było żadnych sprzeciwów. Wszyscy byli zgodni, że „taką rzecz” trzeba zrobić. Akcentowali też zupełnie szczerze, iż w realizacji „tego projektu” widzą jedyną możliwość schodzenia się do świetlicy i jedzenia kolacji na wypadek, gdyby z braku funduszy świetlica miała być latem zamknięta. Również prawdzie trzeba oddać głos, że nasi świetliczanie nie orientowali się zupełnie w prawnych ani w technicznych zagadnieniach spółdzielni. Dyskusje wykazywały też, iż nie rozumieli w ogóle ducha spółdzielni. Wszystko, co mówili, traciło indywidualizmem. Niebawem też miały nastąpić zdarzenia potwierdzające te konstatacje, ale o nich za chwilę.

Te narazie tylko pobieżne obserwacje osadziły kierownictwo świetlicy w strzemiönach, chociaż różne przygotowania były już dość daleko posunięte. Mówiono np. bardzo konkretnie o zorganizowaniu w świetlicy kursu koszykarstwa, ewent. wyrobu guzików lub dewocjonalij,

także wchodziło w rachubę sprowadzenie do świetlicy specjalnego instruktora w zakresie produkcji wyżej wymienionych artykułów.

Wreszcie projekt stworzenia spółdzielni zarobkowej, ewent. wytwórczej — upadł. Nie upadła jednak idea powołania do życia w jakiegokolwiek formie instytucji, mogącej przyczynić się do spełnienia nadziei związanych z zamierzonym celem: przysporzenia świetliczanom pewnych korzyści materialnych, podtrzymania w nich pełnej zdolności wykorzystania posiadanych już kwalifikacji oraz wdrożenia ich do życia w spółnocie.

Z czasem dojrzała też koncepcja pewnej formy, którą najlepiej nazwać spółką zarobkową. Zorganizowanie jej dokonało się w następujący sposób: Najpierw sporządzono dokładny spis tych świetliczan, którzy posiadali jakiejkolwiek kwalifikacje zawodowe. Okazało się przy tym, że było takich wcale nie mało, co ciekawie świadczy przeciw z wielu stron podnoszonym twierdzeniom, że kwalifikacje zawodowe asekurują robotnika od bezrobocia. Wśród świetliczan byli więc: malarze (czterech wyuczonych z dokumentami oraz trzech robotników „przy malarzach”); stolarze (trzech) oraz kilku robotników (siedmiu), którzy pracowali w wielkiej fabryce mebli jako fornierzy, jasne, że wśród nich byli też tacy, którzy znali się na sztuce tapicerskiej oraz reperacji starych mebli; mechanicy, którzy gotowi byli do napraw zamków, dwaj z nich posiadali kwalifikacje szoferów i znali się na obsłudze różnych maszyn rolniczych; ogrodnicy (jeden oraz trzech robotników ogrodowych); szewcy (trzech); krawcy (dwóch); murarze (dwóch, jeden z nich zdobnik, specjalista od zdobnych fasad, — ofiara nowoczesnych, prostych linii); piekarze (dwóch); rzeźnicy (jeden); jeden „b. dyrektor banku w carskiej Rosji”.

Szczegółowo zbadano kwalifikacje innych świetliczan, tzw. niekwalifikowanych, przede wszystkim dochodzono charakteru ich zajęcia z czasów, gdy pracowali. Dalsza czynność polegała na stworzeniu jednej wielkiej listy świetliczan, na której każdy był przydzielony do pewnej grupy zawodowej, składającej się z fachowców wraz z przydzielonymi im niefachowcami, którzy już w danym fachu kiedyś — choćby dorywczo — pracowali.

Praca ta została dokonana z wielką powagą. Wyczuwało się napiętą atmosferę. Widać było, że świetliczanie pokładają w całym planie spore nadzieje i traktują całą imprezę bardzo poważnie. Ostatnim aktem wewnętrznego montowania spółki zarobkowej były jednomyślne uchwały o przyznaniu 10% zarobku na rzecz świetlicy i 20% wyższego zarobku fachowców. Egzekutywa w wypadkach spornych spoczęła w rękach kierownictwa jako pierwszej instancji, a plenum świetlicy jako instancji apelacyjnej i ostatecznie decydującej. Nie było specjalnych regulaminów pisanych, nie pisano też żadnych protokołów. Kierownictwo podkreślało bardzo często, że chodzi tu o moralny charakter imprezy, o pewnego rodzaju braterstwo ludzi bezrobotnych, o dobrą wolę, „o wykazanie naszego społecznienia, którego brak tak często dzisiaj widzimy i — oczywiście — nad tym ubolewamy”.

Gotowość naszej instytucji dojrzała całkowicie do akcji zewnętrznej na parę tygodni przed Wielkanocą. W tygodniku parafialnym

zamieszczono ogłoszenie, uzupełnione i poparte jeszcze z ambony, o zgłaszanie do kierownictwa świetlicy różnych prac domowych i ogrodowych (wszak była to wiosna), naprawy urządzeń mieszkaniowych, naprawy podłóg, czyszczenia parkietów, trzepania dywanów i wreszcie możliwość podjęcia się skromniejszych prac malarskich.

Można sobie wyobrazić, — co się działo w świetlicy w poniedziałek, następny po niedzieli, w którą ogłoszono ofertę świetlicy. Mówiono tylko o ogłoszeniu w tygodniku parafialnym, omawiano treść komunikatu z ambony, niektórzy żalowali, iż tego nie słyszeli. Ożywienie jeszcze wzrosło, gdy w ten sam poniedziałek przyniesiono pierwsze zgłoszenie. Szczęście uśmiechnęło się do malarzy. Zarządzony wywiad ustalił, że jest do wykonania trzypokojowe mieszkanie i kuchnia. Pierwszym zleceniodawcą był kapitan Wojsk Polskich. Na ogół przyjęto to za dobrą wróżbę.

Do pracy wydelegowano dwu fachowców oraz dwu pomocników nie posiadających specjalnych kwalifikacji. Pierwsza praca została wykonana sprawnie, ku zupełnemu zadowoleniu zleceniodawcy oraz radości „malarzy”-świetliczan. Prawie równocześnie z malarzami znalazły się prace dla stolarzy. Niektóre firmy zgłosiły nawet zapotrzebowanie na specjalistów prac fornierskich, znalazły się także prace ogrodowe oraz pewna świetlica niezamożnej młodzieży zleciła nam wykonanie reperacji kilkunastu par obuwia, dostarczywszy materiału. Im bliżej Świąt Wielkiejnocy, tym więcej było zleceń. Szczególnie malarze nie mogli wprost odetchnąć.

Już po dwu tygodniach zaczęły się jednak w szeregach naszej „spółki” ujawniać „grzechy tego świata”. Przede wszystkim więc niedomagało wyliczanie się pracujących. Na wieczornych posiedzeniach frekwencja się zmniejszała, bo nie przychodzili pracujący. Nieraz nie było komu oddawać nowych zleceń. Pozostali tylko ci, dla których pracy nie wystarczyło. Zdarzyło się dwa razy, że malarze przyszli do świetlicy zupełnie pijani, co wywarło na pozostałych świetliczan widoczne wrażenie. Zaczęły się ukazywać rysy na naszej z trudem powstałej budowie. Nieznacznie doszły do uszu kierownictwa wieści, że nasi świetliczanie, powołując się na świetlicę, otrzymują poza nią zlecenia i je wykonują, nie przestrzegając należycie kolejki. Na tym tle doszło nawet na ulicy do krwawej bójkii pomiędzy dwu majstrami malarskimi i posądzano kierownictwo o jakieś pokątne protekcje wzgl. fawory. Niektórzy z świetliczan zaczęli świetlicę wyraźnie traktować jak biuro pośrednictwa pracy, zaglądali do niej wtedy, gdy byli w potrzebie, a nawet dochodziło do poważnych konfliktów na tle krzywdzenia „pomocników” przez „majstrów”. Kierownictwo świetlicy nie miało okazji wystąpić w roli sędziego, ponieważ majstrowie już więcej się nie pokazali.

Do i tak już dostatecznie podminowanej atmosfery przyłączyła się zwykła zazdrość tych, którzy nie byli wiele lub prawie wcale zatrudniani. Zjawiły się zaczątki wyraźnej kastowości w świetlicy, dochodziło nawet do ostrej wymiany zdań pomiędzy stronami. Nastrój stał się zupełnie beznadziejny, gdy obie grupy zaczęły być niezadowolone z zdecydowanego postępowania kierownictwa. Zarabiający twierdzili,

że właściwie muszą pracować na nic nie robiących (prawda każe przyznać, że wśród tzw. „bezrobotnych” naszej spółki zarobkowej byli tacy, którzy od pójścia do pracy wykręcali się, a w kilku wypadkach wywiad kierownictwa ustalił całkowite zlekceważenie sobie zleconej pracy i porzucenie jej po pierwszej krytycznej uwadze zleceńodawcy), „be-z-ro-bo-t-n-i” zaś obciążali kierownictwo winą za brak odpowiednich zarobków.

W tych warunkach podejrzeń, konfliktów i zazdrości, szybko zbliżał się koniec naszej spółki. Została po niej czysta k o r z y ść: kilku-nastu świetliczan otrzymało stałą pracę, przestali być bezrobotnymi; blisko połowa zarobiła sobie trochę grosza; kilku malarzy zaś zdobyło sobie stałych klientów i niezłe zarobki; większość „majstrów” przeżyła radość posiadania pracy, a spora garść „pomocników” dzięki pracy przy „majstrach” zwiększyła możliwość zdobycia pracy. Sromotną klęskę natomiast poniosła nasza idea uspołecznienia. Na tym odcinku nasi świetliczanie kompletnie zawiedli własne i kierownictwa nadzieje. Do pewnego stopnia tylko uznawali spółnotę, mianowicie tak długo, dopóki ona mogła zapewnić łatwiejsze zdobycie indywidualnych zysków.

Szczególnie pod tym względem grzeszyli starsi świetliczanie. Jednostkowy interes przechodził u nich często w pasję. Nie rozumieli działania wspólnego z czystych, ideowych intencji. Lepiej, o wiele stopni lepiej wygląda — w świetle doświadczeń naszej świetlicy dla bezrobotnych — oblicze ideowe młodszego elementu. Młodszy świetliczanie — a była ich niestety znaczna mniejszość — rzadko należeli do przestępców wobec ideologii naszej spółki zarobkowej. Chętniej podporządkowywali się krępującym jednostkę przepisom, częściej dawali dowody zrozumienia, iż duch spółnoty trzyma i utrzymać może naszą społeczność. Wśród nich także znalazło się najwięcej chętnych do podtrzymania rysującej się „spółki”, gdy tymczasem starsi, którzy właściwie mieli z niej więcej korzyści, jakoby nie wiele się tym przejmowali, wyzywając sporo na „innych”, którzy w ich mniemaniu byli tu winnymi.

Nicią przewodnią niniejszego sprawozdania z doświadczeń w świetlicy dla bezrobotnych była ideowość świetliczan, ideowość w znaczeniu pewnej skłonności osobnika do wyrzeczenia się zaspokożenia pragnień własnego „ja” na rzecz wyższej idei, powiedzmy: dobra zbiorowego. Trzeba wyznać, że nasi świetliczanie nie stali na poziomie ideowości. Wprost przeciwnie: w chwilach decydujących, gdy chodziło właśnie o wylegitymowanie się postawą ideowca, o wykazanie uspołecznienia, — zawiedli. Specjalnie dotyczy to starszych bezrobotnych.

Natomiast młodszy wykazali się na poziomie i nie zachwiali u kierownictwa wiary w moralne wartości człowieka.

Ustanowienie Centralnego Urzędu Akcji Katolickiej

Ojciec św. w trosce swej gorącej o należyty rozwój tak przez siebie umiłowanej Akcji Katolickiej powołał do życia osobny Centralny Urząd Akcji Katolickiej (Ufficio Centrale per Azione Cattolica). Działalność tego Centralnego Urzędu Akcji Katolickiej rozciąga się na cały Kościół. Ma on zaś za zadanie wyjaśnianie i załatwianie rozlicznych zagadnień wysuwanych przez biskupów odnośnie do spraw Akcji Katolickiej, badanie jej ważniejszych problemów oraz udzielanie pomocy krajowym i diecezjalnym instytutom Akcji Katolickiej. Siedziba nowego Urzędu Akcji Katolickiej mieścić się będzie w Pałacu Kongregacji Rzymskich. Na jego czele postawił Ojciec św. Kardynała Pizzardo, dawniejszego jeneralnego asystenta włoskiej Akcji Katolickiej, który posiada wielkie zasługi w rozbudowie ideologii Akcji Katolickiej.

Z działalności Komitetu do Spraw Kultury Wsi

Powołany w ostatnich czasach do życia Komitet do Spraw Kultury Wsi, na którego czele stoi minister rolnictwa i reform rolnych, odbył w końcu marca posiedzenie, na którym zajmowano się przede wszystkim sprawami przedłożonymi przez poszczególne komisje, wchodzące w skład Komitetu, a przede wszystkim przez Komisję dla Spraw Młodzieży Wiejskiej i do Spraw Społecznych Wsi.

Komisja do Spraw Młodzieży Wiejskiej przedłożyła mianowicie nasamprzód sprawę wycieczek wiejskich i wysunęła następujące postulaty:

- 1) uznać za najdogodniejsze terminy dla wycieczek wiejskich miesiące maj i czerwiec, okresy od 15 września do 15 listopada i od 15 grudnia do 15 lutego,
- 2) uznać podstawowe szlaki wiejskiej turystyki społecznej,
- 3) przyznać 75 % zniżek kolejowych dla grup od 20 osób,
- 4) subsydiować wydawnictwa omawiające szlaki wiejskiej turystyki społecznej, metodykę organizowania wycieczek jak i różne wydawnictwa przewodników.
- 5) subsydiować akcję, mającą na celu przygotowanie kadr odpowiednich kierowników wycieczek,
- 6) przyznać subwencję na zorganizowanie ruchomego taboru wycieczkowego,

Na drugim miejscu postawiła ta Komisja sprawę Wiejskich Uniwersytetów Ludowych i to z następującym postulatem:

- 1) przyznać Wiejskim Uniwersytetom Ludowym po 3 etaty nauczycielskie,
- 2) udzielać ze strony państwa i samorządów organizacjom prowadzącym U. L. odpowiedniej pomocy.

Wszystkie te postulaty przyjął Komitet jako swoje.

Druga Komisja dla Spraw Społecznych Wsi również dwie sprawy wysunęła: domów ludowych i radia.

W pierwszej sprawie złożono takie wnioski:

- 1) uruchomić w Państwowym Banku Rolnym kredyt długoterminowy na wykończenie i budowę nowych domów ludowych w wysokości 300.000 zł przy oprocentowaniu 2—3% w stosunku rocznym,
- 2) umożliwić samorządom i organizacjom społecznym nabywanie drzewa z lasów państwowych na budowę domów ludowych przy obniżeniu ceny kupna do 50%,
- 3) uzyskać zasiłek z Funduszu Pracy na opłacenie fachowej robocizny przy budowie domów ludowych,
- 4) zainteresować władze centralne, związki samorządowe i organa administracyjne sprawą budowy domów ludowych.

W sprawie zaś radia podniosła Komisja te pretensje, by

- 1) podniesiono liczbę godzin na audycje dla wsi,
- 2) powołano wiejską komisję propagandową.

Również i do postulatów tej Komisji odniósł się Komitet pozytywnie:

Podaliśmy tu umyślnie to sprawozdanie z posiedzenia Komitetu dla Spraw Kultury Wsi, by unaocznić kierunki i metody prac tej instytucji, tak silnie związanej z naszą administracją państwową a zwłaszcza z niektórymi jej resortami.

Z terenu pracy uniwersytetów powszechnych

Pewnym odpowiednikiem uniwersytetów ludowych, ogarniających zasadniczo wieś, są w miastach tzw. uniwersytety powszechne, działające za pomocą kilkumiesięcznych kursów, które dzielą się, o ile istnieją po temu lokalne warunki, na kilka specjalnych grup. Te uniwersytety powszechne są zazwyczaj imprezami Oddziałów Oświaty Pozaszkolnej Kuratoriów Okręgów Szkolnych. Rozwinęły się one szczególnie w województwie poznańskim. Jest ich tam około 30.

Metody i wyniki prac tych uniwersytetów powszechnych, jako specjalnych instytucji oświatowych, muszą budzić zainteresowanie każdego pracownika oświatowego. Sporo materiału pod tym względem dostarczyć mu mogła konferencja kierowników uniwersytetów powszechnych, jaką Oddział Oświaty Pozaszkolnej Kuratorium O. S. Poznańskiego przeprowadził w końcu lutego br. w Wągrówcu. Konferencja ta przyniosła bowiem szereg ważnych wskazań programowych i metodycznych, opartych głównie o dotychczasowe doświadczenie.

Tak stwierdzono więc, że nie zaleca się zbyt pośpiesznie przechodzić do intensywnej pracy w małych zespołach, gdyż inaczej odstraszy się słuchaczy od uniwersytetu. Dalej wykazało się, że większe uniwer-

sytyty powszechne, pracujące systemem grupowym, powinny przynajmniej raz na tydzień organizować wykłady plenarne, skupiające wszystkich słuchaczy.

Ciekawe bardzo spostrzeżenia porobiono co do uczestników uniwersytetów powszechnych. Rekrutują się oni mianowicie z dwóch środowisk społecznych, robotniczego i drobnomieszczańskiego, z przewagą ostatniego. Element robotniczy jednak nie czuje się dobrze w zespołach mieszanych, wycofuje się, stopniowo z udziału w takich zespołach. Stąd wysnuwano wnioski, że dla robotników należy prowadzić osobne zespoły.

Podobnie interesujące doświadczenia porobiono z bezrobotnymi. Ci bowiem na ogół uchylają się od udziału w pracach u. p., tak że by ich ogarnąć, polecono przeprowadzać ich nasamprzód przez świetlice, skąd dopiero do u. p. winni oni przechodzić.

W łączności w tym w ogóle stwierdzono konieczność oparcia prac u. p. o akcję świetlicową.

Konferencja zajęła się również problemem roli książki i prasy w pracy u. p.; wykazała ona, że można wiele zrobić dla propagandy dobrej książki przez odpowiednie zajęcia na u. p. Poza tym unaocniła, jak bardzo zaleca się, na u. p. omawiać i interpretować podawane przez prasę codzienną wiadomości aktualne.

Doszła też Konferencja do tego wniosku, że dla należytego powodzenia akcji u. p. jest konieczne wciągać organizacje społeczne do współudziału w pracach organizacyjnych i że dotychczasowe zlekceważenie tej zasady ujemnie miało następstwa.

Przebieg konferencji wągrowieckiej nasuwa szereg wniosków ogólniejszego charakteru. Jej konkluzje bowiem rzucają wiele pożądanego światła na inne dziedziny pracy oświatowej.

Z problemów pracy świetlicowej na wsi

Również bardzo instruktywną, jak Konferencja wągrowiecka kierowników u. p., była Konferencja kierowników wiejskich placówek pracy świetlicowej, urządzona w łączności z pierwszą przez Oddział Oświaty Pozaszkolnej Kuratorium O. S. Poznańskiego.

Konferencja ta doprowadziła do ustalenia takich wytycznych i zasad dla pracy świetlicowej na wsi:

Wobec trudności, wyłaniających się tam, gdzie wieś jest pokryta gęstą siecią zrzeszeń, należy dążyć do tworzenia świetlic międzyorganizacyjnych, naturalnie o ile między odnośnymi organizacjami nie ma zasadniczych różnic ideologicznych. Punktem zaś wyjścia pracy świetlicowej winny być potrzeby uczestników zespołów świetlicowych. Praca świetlicowa w celach swych winna dopomagać uczestnikom nie tylko do zdobycia większego wyrobienia kulturalnego, ale także do awansu w dziedzinie społeczno-gospodarczej (na ogół nie godzą się, teoretycy oświatowi na takie ujmowanie celu pracy oświatowej).

Co do zagadnień organizacyjnych, to wypowiedziała się Konferencja za uwzględnieniem specyfikacji zainteresowań poprzez konieczność dobierania uczestników zespołu według wieku.

W sprawie stosunku świetlicy do środowiska ustalono, że powinien on być pozytywny i że świetlica wiejska winna odgrywać rolę centrum kulturalnego w danej wsi.

Na temat typów i rodzajów zajęć świetlicowych przyniosła Konferencja tak obfity i różnorodny materiał, że nie da się on streścić w tym sprawozdaniu.

I ta Konferencja daje sporo materiału do refleksji pracownikom oświatowym.

Religijność robotnika na paryskim przedmieściu

W paryskim tygodniku „La Vie Catholique” ogłosił niedawno jeden z duszpasterzy, pracujących w nowo utworzonych na paryskich przedmieściach parafiach, swe spostrzeżenia o stosunku tamtejszych robotników do religii, Kościoła i duchowieństwa. Są to bardzo ciekawe i cenne spostrzeżenia.

Tak podaje on, że jeżeli robotnik spotyka rano w drodze do pracy kapłana, to zazwyczaj kłania się mu, o ile idzie sam lub w małej grupie. Większe grupy nie zwracają nań uwagi, choć z drugiej strony nie zaczepiają go już, jak to dawniej się działo. Celowa, systematyczna opieka duszpasterska, mimo wszelkich przeszkód, wydaje swe rezultaty, choć na razie dość szczupłe. W parafii robotniczej np., która w r. 1928 na 4000 dusz miała tylko 6 praktykujących, obecnie jest ich 150, i to przeważnie z pośród młodzieży. Działalność J. O. C. (Chrześcijańskiej Młodzieży Robotniczej) bardzo wyraźnie się tu zaznacza. Najwięcej opornymi okazują się tu robotnicy w wieku od 60—70 lat; są oni zupełnie przesiąknięci jadem antyklerykalizmu, tak że jest wprost niemożliwe do nich dotrzeć. U robotników w wieku od 30—40 lat, którzy mają wystarczające utrzymanie, zaznacza się raczej brak zainteresowania dla spraw religijnych. Uważają oni religię jako rzecz przestarzałą, którą pozostawia się kobietom. W ogóle cechą charakterystyczną dla obecnego pokolenia robotniczego jest obojętność religijna, która zastąpiła dawną wrogość wobec religii i Kościoła. Z drugiej strony jest jeszcze wciąż głęboko zakorzenione uprzedzenie, że Kościół odciąga robotników od troski o ich sprawy materialne, oddaje ich na pastwę kapitalistycznego wyzysku itd. Dlatego też tylko ten duszpasterz może liczyć na jakieś powodzenie, który umie przekonać robotników, że Kościół żadną miarą nie przeszkadza robotnikowi w obronie jego interesów materialnych, lecz przeciwnie udziela mu pod tym względem najdalej idącego poparcia.

Z zagadnień przodownictwa w Akcji Katolickiej. Pamiętnik IV konferencji związkowej Katolickiego Związku Młodzieży Żeńskiej i Katolickiego Związku Młodzieży Męskiej odbytej w Poznaniu 2—3 maja 1937 roku pod redakcją Referatu Programowego KZMŻ i KZMM. Poznań 1938, str. 152. Nakł. S. A. „Ostoja”.

Tzw. problem elity odgrywa dziś w oświacie pozaszkolnej pierwszorzędną rolę. Przede wszystkim zaś różne grupy społeczne i ruchy ideowe stawiają dziś bardzo silnie na to zagadnienie. Nawet w działalności wychowawczej o przewadze form systemu ekstensywnego problem ten zarysowuje się bardzo wyraźnie. Odczuwa się dziś — można tak powiedzieć — powszechną dążność do demokratyzacji dorobku współczesnej kultury — poprzez stosunkowo nieliczne zespoły jednostek wybranych. Nietrudno dziś nawet przewidzieć, że przyszłość oświaty dorosłych — może już niezbyt odległa — zaznaczy się mobilizacją zespołów elitarnych, które do pewnego stopnia (tylko do pewnego stopnia!) zastąpią dzisiejsze zrzeszenie jako klasyczną formę systemu ekstensywnego. Nic też dziwnego, że wśród oświatowców wyczuwa się znamieny ruch i zabiegi nad przygotowaniem pewnego planu w zakresie rozwiązania zagadnienia tzw. elity.

Zjawily się już nowe terminy, pojęcia dla oznaczenia pewnych, pilnie dyskutowanych treści. Wśród nich zaś wiele uwagi poświęca się terminowi „przodownik” oraz zakresowi jego treści.

Broszura, która jest przedmiotem tej recenzji, jest jednym z przykładów specjalnej uwagi, nawet specjalnych zjaz-

dów i konferencji, jakie poświęca się zagadnieniu przodownictwa. W danym wypadku chodzi o zagadnienie przodownictwa w Akcji Katolickiej Młodzieży, a problem ten — zdajemy sobie całkowicie z tego sprawę — odgrywa w Akcji Katolickiej pierwszorzędną rolę, gdyż „przodowanie” jest integralnym jej składnikiem.

Recenzowana praca składa się niejako z trzech części. Pierwsza zawiera trzy opracowania, zmierzające do zgłębienia istoty przodownictwa i osobowości przodownika. Dr Marian Wachowski skoncentrował swe rozważania do prób określenia roli przodownictwa. Jego zaś zdaniem „przodownictwo jest pewną rolą społeczną, spełnianą dzięki posiadaniu pewnych cech osobistych” (str. 15). Wrodzone te cechy osobiste kandydata na przodownika czynią zeń faktycznego przodownika z chwilą, gdy ten robi z nich użytek, a przez środowisko zostały uznane za wartość i budzą chęć naśladowania. Takie stanowisko nasuwa ciekawe wnioski z racji swej wartości użytkowej. Czy przodownika można wychować? Pytanie to zwróciło uwagę na siebie kilku dyskutantów podczas konferencji, a ostateczną odpowiedź da się ująć w ten sposób, że można wychowywać kandydata na przodownika, nie można jednak wychować na przodownika jednostki, która nie posiada wrodzonych cech przodowniczych.

Nie sposób w recenzji zebrać choćby ważniejsze tylko problemy tej pożytecznej konferencji, problem istoty przodownictwa — jako najważniejszy — zasługuje na specjalne przywileje.

W dwu następnych opracowaniach dr Józef Sułkowski przedstawia przodownika na tle dziejów wychowania, można powiedzieć: jest to skromna próba określenia typu przodownika, a ks. dr Czesław Kaczmarek omawia zagadnienie ideału przodownika w ramach Akcji Katolickiej.

Pierwszą część zamyka interesująca dyskusja łącznie nad trzema referatami.

Drużga część obrad konferencji toczyła się pod znakiem poszukiwania form wychowywania przodowników. Felicja Żurowska przedstawiła sprawę przygotowania do przodownictwa w Oddziale poprzez kółko wychowawcze, dr M. Wachowski omówił uniwersytet ludowy jako szkołę przodowników, a w ramach tego tematu przedstawił projekt katolickiego uniwersytetu ludowego, wreszcie Stanisław Sedlaczek przedstawił możliwości kształcenia przodowników przez rekolekcje, obozy i kursy.

Również i tę część zbioru zamyka dyskusja na referatami.

Trzecią część stanowi bardzo bogaty zbiór bibliografii „przodownictwa i pozaszkolnego kierownictwa wychowawczego” w zestawieniu Stanisława Sedlaczka. W katolickiej literaturze oświatowej jest to pierwszy tego rodzaju zbiór bibliografii, niewątpliwie bardzo pożyteczny i na cza-

sie. Jest to pierwszorzędne uzupełnienie niniejszego wydawnictwa.

Trzeba stwierdzić z całym spokojem, że ani referaty ani dyskusje nie rozwiąły wszystkich obłoków, które nam dotąd zakrywają niektóre elementy skomplikowanego problemu przodownictwa, tym nie mniej na zagadnienie to padło sporo światła ostrego reflektora. Konferencja dokołała pracy iście pionierskiej. Bibliografia zaś, podająca olbrzymi wybór kilkuset pozycji, dopomoże waleń ochotniczym poszukiwaczom do dalszych odkryć i rozwiązań. Dobrze się stało, iż dorobek ten ukazał się w druku. Zbiór: „Z zagadnień przodownictwa w Akcji Katolickiej” stanowi pożyteczne wydawnictwo dla wszystkich oświatowców, ale nie mniej interesujący dokument bardzo korzystnych przemian w zakresie stanu i poziomu tzw. oświaty katolickiej w Polsce. Z uwagi na fakt, że i poza kręgiem tzw. oświaty katolickiej problem przodownictwa jest przedmiotem niezakończonych jeszcze dyskusyj, publikacja dorobku konferencji związkowej Katolickiego Związku Młodzieży Żeńskiej i Katolickiego Związku Młodzieży Męskiej na temat zagadnień przodownictwa jest chlubnym spełnieniem naczelnego postulatatu Akcji Katolickiej: — apostołstwa czyli przodowania.

Józef Chmara.

J. K.

O CIERPIENIU

Gdy się ktoś zapyta: czego na świecie jest najwięcej, można by mu odpowiedzieć — bynajmniej nie mijając się z prawdą: — „Cierpienia”. Zmierzyć wprawdzie ilości tego cierpienia nie możemy, ale nie znajdzie się chyba człowiek, który by innego był zdania. A gdyby się taki znalazł, to mógłby nim być jedynie ciasny egoista, opływający w dostatki, nie odczuwający żadnych braków materialnych, ani duchowych a przy tym, oceniający świat i życie w zależności od własnej sytuacji i własnych przeżyć. Jednak takich ludzi, oślepionych własnym krótkotrwałym szczęściem znajdziemy niewiele.

Nie znajdziemy ich dlatego, że cierpienie nie omija nikogo. Nie ma człowieka, który był od niego był wolny. Wprawdzie jedni na tym świecie więcej muszą cierpieć, inni mniej, dla jednych całe życie jest jednym pasmem cierpienia, dla innych cierpienia są tylko fragmentami w życiu, ale — nie ma takiego, który by zdołał się od nich uwolnić — jak nie ma człowieka, który by mógł uciec przed śmiercią. Ale nie tylko człowiek podlega cierpieniu. Podlega mu i świat zwierzęcy. Śmiało więc powiedzieć możemy, że cierpienie jest powszechne. Jest ono powszechne nie tylko w przestrzeni, ale również w czasie. Istnieje niemal od początku świata, bo od chwili upadku pierwszych rodziców i będzie istniało aż do skończenia świata. Cierpienie nigdy z tego świata nie zniknie i tylko nierealni utopiści mogą w to wierzyć, że z czasem ludzkość potrafi tak się urządzić, iż nie będzie cierpieć na ziemi. Można by, i to bardzo znacznie, zmniejszyć ilość cierpienia, ale usunąć go zupełnie nigdy nie będziemy umieli.

Czy jednak rzeczywiście można ilość cierpienia zmniejszyć? Czy w porównaniu z minioną, dawną przeszłością zmieniło się pod tym względem na lepsze? Trudno jest na to pytanie odpowiedzieć. Jedni będą skłonni mniemać, że postęp wiedzy i techniki, i w ogóle wzrost kultury dużo już cierpień usunął, inni, bardziej pesymistycznie usposobieni, bronić będą tezy, że mimo wszystkie postępy ilość cierpień wcale się nie zmniejsza, bo nie zmniejsza się też ilość zła. I na potwierdzenie swoich słów przytoczą bezrobocie, stosunki w Rosji bolszewickiej, lub okrucieństwa w Hiszpanii.

Nie będziemy tu rozsądzać, który z tych dwóch poglądów jest słuszny. Jedno jest tylko pewne, to, że wszyscy pragnęlibyśmy by zła i cierpień było jak najmniej, bo cierpiąc czujemy się nieszczęśliwi. „Bo równie młode jak i stare skronie, czuje, że mu źle w cierniowej koronie”,

powiedział sławny nasz komediopisarz Al. Fredro. To pragnienie usunięcia cierpień szczególnie silne jest w człowieku wtedy, gdy sam cierpi. Mniejsze jest już ono gdy inni cierpią.

Może więc tu tkwi część przyczyny tego dziwnego zjawiska, że chociaż ludzkość w większości swej chciałaby i zło i cierpienie na banicję skazać, postępuje często tak, że liczbę i wielkość cierpień powiększa. Oczywiście nie możemy i o tym zapomnieć, że są ludzie którym nie tylko nie zależy na zmniejszaniu zła i cierpienia ale przeciwnie — cała ich działalność zmierza do tego, by zło powiększać. Taką przecież opinię zdołali o sobie stworzyć różni wicherzyciele, rewolucjoniści, a w ostatnich czasach bolszewicy ze Stalinem na czele. Złe się dzieje gdy tego rodzaju ludzie, zdołają dorwać się do władzy, i wpływać na stosunki społeczne.

Jeżeli dotąd nie zdołaliśmy się od tego ogromu cierpień, jaki nas otacza, uwolnić to częściowo dlatego, że zbyt mało zwracamy uwagi na przyczyny, które rodzą cierpienie. Nie jesteśmy skłonni do odnajdywania właściwych przyczyn, ściśle mówiąc, jesteśmy skłonni doszukiwać się ich tam, gdzie ich nie ma. Nieraz zadawaliśmy się stwierdzeniem przyczyny bliższej, i będącej skutkiem przyczyny dalszej, a pomijamy przyczynę pierwszą istotną. Może dlatego że musielibyśmy przyznać, że to pierwsze źródło cierpień wywołane jest przez nas, że tkwi w nas samych. W ogóle chętnie staramy się o zrzucenie winy ze siebie, i obciążenie nią innych ludzi, okoliczności, lub też czegoś nieznanego a nie-rzadko samego Boga. To przypisywanie Bogu działalności, pomnażającej cierpienia stało się niemal chlebem codziennym ludzi. Wojnę przecież wywołują ludzie, a zawsze w pogotowiu mamy twierdzenie, że to „kara Boża”, „dopust Boży” itp. Choroby, jakże sami często wywołujemy, a mimo to mówimy, że „ciężko nas Bóg doświadcza”.

Jest charakterystyczne, że pod tym względem ludzie zawsze byli sobie podobni. Nic przecież innego tylko zrzucanie przyczyn cierpienia na siły nieznanne, zmusiło wielkiego ateńczyka, Solona, do napisania takiej prawdy: „Jeśli cierpicie głupi, to z własnej przyczyny, i w bogach nieśmiertelnych nie szukajcie winy”. Zważy, że Solon żył dwa i pół tysiąca lat temu.

W rzeczywistości czy dużo jest cierpień takich, które nie zależą od ludzi, a więc takich, które można wyłącznie woli Bożej przypisać? Spróbujmy chociaż po krótko zastanowić się nad najbardziej typowymi rodzajami cierpień i ustalmy ich przyczynę. Głód i nędza — gdzie ich źródło? Zawsze w działalności człowieka. Jeżeli bowiem przyczyną nędzy nie jest lenistwo, pijaństwo, rozrzutność lub niedołęstwo tą nędzą dotkniętego, to jest nią błędny układ stosunków społecznych i gospodarczych, lub wojen. Czyim zaś dziełem są wojny i stosunki społeczno-gospodarcze, kto je ustanawia i wywołuje jeżeli nie ludzie?

Weźmy inny rodzaj cierpień — choroby, kalectwa. I tu najczęściej sami jesteśmy winni. Niedostateczna troska o swoje zdrowie, brak higieny, nieodpowiednie odżywianie, nieodpowiedni tryb życia, lekkomyślność, nieuwaga — oto najczęstsze przyczyny chorób i kalectw. Czasem winę ponoszą wyłącznie ci, których cierpienie prześladowa, ale również często inni ludzie, zwłaszcza rodzice, wychowawcy itp. Niejedna choroba, niejedna słabość organizmu, która nam dokucza, jest

może przez nas niezawiniona, bo początek jej dali rodzice, przodkowie, lub inni. Jednak to nie zmienia faktu, że przyczyną ich jest czynnik ludzki. Niewiele jest chorób, które nie byłyby następstwem naszych własnych lub cudzych błędów. Stokilkadzieś lat temu Humboldt, mąż stanu i uczony pruski, wyraził się, że „nadejdzie czas, gdy choroba uważana będzie za hańbę, za coś ubliżającego”. Jest w tym powiedzeniu niewątpliwa przesada, i katolik nie może się zgodzić na taką postawę wobec choroby. Przytoczyliśmy jednak to zdanie na poparcie twierdzenia, że w wielkiej mierze, sami jesteśmy winni naszym chorobom i cierpieniom z nich wynikającym. Jest rzeczą wiadomą, że często nie mamy świadomości naszych błędów wobec zdrowia, brak nam należytego oświecenia w tych sprawach. Cóż z tego jednak. Chorobę sami spowodowaliśmy.

Lecz idźmy dalej. Cierpienia wyrządzone obmową, oszczerstwem, znieważeniem, nieuczciwością, zabranie cudzej rzeczy, urazem cielesnym i wszelką inną krzywdą, — skąd pochodzą? Czyż sprawcami tych cierpień nie są wyłącznie ludzie?

Często krzywdzące postępowanie innych wobec nas, wywołane jest też przez nas samych. Niekiedy prowokujemy wprost innych, do takiego postępowania, które nam potem sprawia ból a najczęściej wpręgamy się, przez nieprzemyślane albo niewłaściwe postępowanie w taki układ otaczających nas stosunków, czy okoliczności, który później staje się jednoznaczny z nieszczęściem, a w każdym razie daje nam okazję do mniejszych lub większych cierpień.

„Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata,
Sam sobie koło robi i sam się w nie wplata”,

powiedział Mickiewicz. Czyż trzeba przykładów na potwierdzenie tych słów? Znaleźlibyśmy ich nieskończoną liczbę i znajdzie je każdy, kto-kolwiek zechce się nad tym zastanowić. Oczywiście nie wszystkie cierpienia, doznawane przez jednostkę, przez nią bywają zawinione. Cierpimy często z winy innych. Jeżeli przyczyna jest po naszej stronie winić musimy nasze braki i słabości; nasze niedołęstwo, lenistwo, lekkomyślność, brak oświecenia, nierozsądek, nieroztropność, brak rozważ i wiele, wiele innych błędów. Jeżeli natomiast, przyczyną naszych cierpień są inni ludzie, to obok wymienionych słabości, mogących wpływać na stosunek tych ludzi do nas, wymienić trzeba przede wszystkim takie błędy i grzechy jak chciwość, zazdrość, okrucieństwo, pychę, egoizm i inne. Wyliczanie to zresztą można skrócić stwierdzeniem, że główną przyczyną cierpień, na które narażeni jesteśmy z winy innych, jest brak miłości bliźniego. Trudno jest ustalić ilość cierpień spowodowanych przez człowieka i tych, które od działalności ludzkiej nie zależą, ale nie popełnimy na pewno przesady, gdy powtórzymy za niektórymi myślicielami, że cierpienia, w których przyczyną są ludzie, stanowią około 90% wszystkich cierpień.

To cośmy usłyszeli, było niczym więcej jak wyrazem naszego ludzkiego stosunku do cierpienia. Nie wolno nam jednak zapominać, że jest jeszcze ktoś, komu cierpienia nasze nie są obojętne i w którego oczach te cierpienia często inną mają wartość niż w oczach naszych. Nie nadar-

mo modlimy się do Boga o odwrócenia cierpienia od nas. A że czasem modlimy się bezskutecznie, napozór bezskutecznie, to przyczyna w tym, że często Bóg inaczej myśli o nas i o naszych cierpieniach niż my. Winniśmy bowiem zapamiętać, że cierpienie nie istnieje wbrew woli Bożej; przeciwnie — jest przez Boga umieszczone w planie stwórczym świata jako potężny środek wychowywania ludzkości. Może to się wydawać dziwne, a jednak — cierpienie jest najważniejszym i najpotężniejszym czynnikiem, wiodącym ludzkość na drodze postępu w dobrem. Inaczej by świat wyglądał gdyby nie było cierpienia. Ale czy lepszym byłby ten świat? Nie. Bo ludzie bynajmniej nie byłiby lepszymi — wręcz przeciwnie — wyrodnieliby w złem. Pomyślmy, co by się stało z naszym ciałem, gdybyśmy nie znali bólu. Psułoby się i toczyłyby je najprzeróżniejsze choroby, a my nie przeciwdziałalibyśmy procesowi zamierania, gdyż nie wiedzielibyśmy o niczym. O groźnym stanie naszego organizmu dowiadywalibyśmy się najczęściej wtedy, gdy byłoby już za późno, gdy pozostawałaby nam jedynie śmierć lub trwałe kalectwo. Podobnie działoby się z tym wielkim organizmem, jakim jest cała ludzkość. Nieszczęścia i klęski mówią nam o tym, że w stosunkach między ludźmi dzieje się coś niedobrego, że należy przedsięwziąć środki zaradcze. Cierpienia to po prostu sygnały zawiadamiające jednostkę, lub całe społeczeństwo, że należy zawrócić z drogi, po której się dotąd kroczyło, z drogi wiodącej, ku nowemu cierpieniu, lub zgłębiać ku upadkowi. A gdyby tych sygnałów ostrzegawczych nie było, ludzkość wkrótce musiałaby zwyrodnąć.

Taką jest mniej więcej rola cierpienia w odniesieniu do całej ludzkości. Jeżeli jednak przedmiotem naszych rozważań uczynimy cierpienia jednostki, to łatwo stwierdzimy, że rola cierpienia bywa rozmaita, zależnie od zamiarów, jakie Bóg w stosunku do jednostki żywej, i zależnie od tego kim jest dana jednostka pod względem moralnym. Najczęściej skłonni jesteśmy cierpienie uważać jako karę za grzechy. Jest to częściowo słuszne, ale tylko częściowo. „Nie przerażajmy się cierpieniami ludzi dobrych, gdyż nie są one dla nich karą, tylko próbą” — mówił św. Augustyn. Należy to tak rozumieć, że cierpienie poczytywane jest przez Boga, jako kara wobec ludzi złych, których już tu na ziemi często sprawiedliwość Boża dosięga. To samo cierpienie, znoszone przez wszystkich innych ludzi, różny może mieć u Boga cel.

Najpierw może to być pokuta za grzechy. Pokuta bowiem za grzechy, nie jest jednoznaczna z karą za nie. Pokutując już tu na ziemi uwalniamy się od cierpienia w życiu przyszłym. Powinniśmy więc dlatego cierpienie tu na ziemi uważać za dobrodziejstwo, za łaskę Bożą. Wspomniany co dopiero św. Augustyn tak mówi: „Pan chłoscze i nawiedza krzyżami swych wybranych, a ty chcesz być wyjętym? Jeżeli będziesz wyjętym od cierpienia, będziesz i wyjętym od nagrody.” A wielki nasz poeta Jan Kasprówicz tak się w swych „Pieśniach” odzywa:

„Ty nie otwieraj serca dla rozpacz,
w której się ducha osłabienie mieści.
Tylko błogosław, błogosław boleści”.

Mamy w tych powiedzenia dowody głębokiego zrozumienia istoty cierpienia, jakże innego od codziennego pojmowania tego zjawiska przez większość ludzi.

Często, mając na myśli cierpienie, mówimy, że „Bóg nas doświadcza”. Jest w tym powiedzeniu głęboka treść zawarta. Bóg dopuszczając cierpienie, chce nas jakby wypróbować, chce nam dać okazję do wykazania, że jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami, że jesteśmy mężni i cierpliwi, że mamy hart duszy, głęboką wiarę w Opatrzność Bożą. „Doświadczenia są jakby ogniem, jeśli człowiek jest ze złota, to wyjdzie z nich oczyszczony, jeśli jest ze słomy, to w nich spłonie”, — czytamy u św. Augustyna.

Lecz to nie wszystko. Doświadczać nas bowiem chce Bóg, również umocnić nas w cnotach, uodpornić wobec pokus, i zahartować w walce z przeciwnościami. Cierpienie wywiera bowiem wielki wpływ na kształtowanie się naszej duszy, ono nas wychowuje, kształci, uczy. Trzeba tylko korzystać z jego nauk. Ta rola wychowawcza cierpienia odnosi się również i do naszego ciała. Wiemy przecież z własnego nieraz doświadczenia, że organizm człowieka żyjącego w rozkoszach, jest zazwyczaj słaby i podatny na różne dolegliwości, natomiast organizm przebywający w twardych i bolesnych nieraz warunkach, jest silny i odporny wobec wielu chorób i słabości. Słusznie powiedział — J. I. Kraszewski, że „Organizm ludzki zdaje się być bardziej do cierpień niż do rozkoszy urobionym. Rozkosze osłabiają, a cierpienia hartują i mnożą siły człowieka”.

Rozważania te nasunęły nam niewątpliwie kilka wniosków, z których każdy dowodzi, żeśmy dotąd nie znali istoty cierpienia i że niewłaściwy był nasz do niego stosunek. Okazuje się przecież, że to cierpienie, którego się tak boimy i przed którym tak uciekamy, jest w rzeczywistości dobrodziejstwem i jest wyrazem nie gniewu Bożego, ani opuszczenia nas przez Boga, ale wyrazem, dobroci i miłosierdzia Bożego, wyrazem Łaski Bożej. Dlatego prawdziwy chrześcijanin nie szemrze, gdy go nawiedzają cierpienia, lecz wzorem świętych przyjmuje je z radością, pomny na słowa św. Piotra, że „Jeżeli dobrze czyniąc, znosisie utrapienia w cierpliwości, to jest łaska u Boga” (1 — II 20). I jeszcze o jednym pamiętać winniśmy: oto życie ziemskie z jego trudami i bólami jest krótkie, bardzo krótkie, a dla tych, którzy tutaj cierpią niesprawiedliwie, przygotował Bóg pobyt w wiecznej szczęśliwości. „To obecne bowiem przeciotko przemijające i lekkie utrapienie nasze sprawuje w nas nad miarę wielki ciężar wiekuistej chwały” pisał św. Paweł w liście do Koryntian (Kor. 4, 17).

Kończąc, powtórzmy jeszcze za św. Bernardem, że „Drogi cierpienia są zarazem drogami życia i zbawienia”.

Maria Niesiołowska

NOWE MATKI

(Gawęda w związku z orędziem Episkopatu Polskiego w sprawie uchwał I. Synodu).

Z najróżniejszych warsztatów wychodzą dzieła rąk ludzkich: z kuźni pługi i brony, ze stolarni ławy i stoły, ze szwalni odzież.

Jest jeszcze jeden warsztat, w którym dokonuje się o wiele ważniejsze dzieło. Tym warsztatem jest rodzina, a tym dziełem wychowanie człowieka, a mistrzem, który dokonuje trudnego dzieła, jest matka.

Najróżniejszymi narzędziami pracują mistrze w swoich warsztatach; w kuźni kowadłem i młotem, w stolarni piłą i heblem, w szwalni igłą i nożycami.

Matka ma zgoła inne narzędzie: przykład i słowo, działające na dziecko, urabiające jego tak miękkie, tak wrażliwe, tak uległe wpływowi — wewnątrz.

Według wzorów pracują wszyscy mistrze: przed krawcem leży żurnal, przed stolarzem i kowalem innego rodzaju rysunek.

Na jaki wzór patrzy matka, kształtując według niego duszę dziecka?

Ten wzór wybrać należy. Teraz. Zaraz. Wyłączamy z naszych rozważań te matki, które umyślnego wpływu na dziecko nie wywierają, a żyją bezmyślnie z dnia na dzień pod wrażeniem chwili. Wyłączamy także te matki, którym przyświeca rysunek jakiegoś nowopogańskiego wzoru: małego hitlerowca, czy zapalonego bolszewika. Mówię do członków Akcji Katolickiej. Takim przyświeca jako wzór człowiek „na obraz i podobieństwo boże” — na obraz i podobieństwa Chrystusa Pana. — Kiedy zaczyna się wychowanie dziecka? — zapytał ktoś. Znana jest odpowiedź: — „Na długo przed jego narodzeniem”. A więc zaczyna się wychowanie dziecka wychowaniem matki. Jeżeli narzędziami tej mistrzyni mają być przykład i słowo, tedy trzeba, by ona sama była tym, co zrobić chce ze swego dziecka. Bez tego sama przykładu nie da, a i słowo działać będzie jak tępą rylce — zupełnie niedołąźnie.

O tym więc pomyślmy teraz, jak same siebie wychowamy. Jakie cnoty my same zdobędziemy? My matki. Na dzisiejsze czasy nie wystarcza typ dawnej kobiety. Słuchajmyż jeno, z jakim usilnym wołaniem zwracają się do nas ci, którzy jasno widzą niebezpieczeństwo czasów obecnych i rozumieją co im zaradzić może, co wyratuje ludzkość z tej wielkiej burzy na morzu.

Wołają oni o nowego człowieka, o nowy, głęboki, światły typ katolika, o nową głęboko wierzącą — kobietę, o matkę, która ma w sobie bogate, pełne, nadprzyrodzone życie.

Posłuchajmy słów z ostatniego orędzia Episkopatu Polskiego w sprawie uchwał I. Synodu.

„Z szczególnym serdecznym słowem pasterskim zwracamy się i do was, umiłowani katolicy stanu świeckiego. Razem z hierarchią i duchowieństwem stanowicie Kościół Boży. W mistycznym Ciele Chrystusowym także i wy możecie i powinniście mieć bogate, pełne, nadprzyrodzone życie...

Wzywają was zatem uchwały synodalne nade wszystko do pielęgnowania w swych duszach życia nadprzyrodzonego. Religijność ograniczająca się do Mszy św. niedzielnej i dorocznej Komunii św. musi ustąpić miejsca pełnemu wszczepieniu się w życie Chrystusowe przez królestwo łaski bożej w duszach. To życie wewnętrzne, nadprzyrodzone, mistyczne, pielęgnować należy możliwie codziennym uczestnictwem

w ofierze Mszy św., częstą, a choćby codzienną Komunią świętą, łączeniem się z myślą Kościoła w ciągu całego roku liturgicznego, modlitwą, rozmyślaniem, rachunkami sumienia, rekolekcjami zamkniętymi, uczynkami z wiarą, nieustanną walką ze złem, dążeniem do tego, co lepsze, doskonalsze, więcej ewangeliczne i bardziej Chrystusowe.

Aby wiarą żyć i praktyczne życie kształtować, trzeba je znać. Daleko nam jeszcze do należytego uświadomienia religijnego szerokich warstw...

Synod wzywa przeto do zdobywania znajomości zasad katolickich.

Zatrzymajmy myśli swoje na chwilę. Niechaj słowa te zapadną głęboko w naszą świadomość. Zbyt ważne są, żeby przejść nad nimi do porządku dziennego... Toż to cały program pracy, by zdobyć „bogate, pełne, nadprzyrodzone życie”.

Nasz program. Program matek współczesnych.

Żyje wśród nas jakaś młoda kobieta. Jeszcze kilka lat temu żyła odwrócona od Kościoła, gdyż widziała w katolicyzmie, bierność, dewocję, postawę zamykającą się przed zagadnieniami współczesnymi.

Nic dziwnego, że tyle tylko widziała w katolicyzmie, gdyż jak mówi nam orędzie daleko nam do znajomości wiary. „Nawet ludzie wykształceni tkwią nieraz w nieprawdopodobnych błędach i uprzedzeniach do wiary. Niektórzy nie mieli sposobności poznać jej bliżej, inni z lenistwa duchowego uchylają się od badań religijnych, a są tacy, którzy od prawdy ewangelicznej wręcz uciekają, bo im jest niewygodna jako moralne prawo życiowe”.

Nasza pani należała do tych, którzy „nie mieli sposobności poznać bliżej” zasad katolickich, a te okruchy prawdy, które docierały do niej przez nieudolną naukę w szkole i rodzinie dały jej zniekształcony obraz wiary. Pomimo to nawet w tych skąpych okruchach wyczuwała prawdę i tajemniczą mocą pociągały one jej duszę. Całkiem przypadkowo wpadły jej do rąk „Dzieje duszy św. Teresy od Dzieciątka Jezus”. Czar tej książki przykuł ją do niej, aż z zapartym oddechem nie ukończyła całej. Nowe widnokreśli otworzyły się przed jej głodną, spragnioną duszą. Teraz szukać zaczęła podobnej natchnionej lektury. Poznała z kolei św. Alfonsa z Liguori, św. Teresę z Awili, św. Jana od Krzyża. Szła od autora do autora ze swym wielkim pytaniem o sens życia, ze swym wielkim pytaniem o to, według jakich zasad rozwija się w człowieku życie nadprzyrodzone. Znalazła odpowiedź na wszystkie pytania. Boga znalazła.

Jest to jedna z wielu współczesnych, których okruchy prawdy odwiodły od Kościoła, a znajomość całej prawdy — przywiodła z powrotem.

Oby i Bóg nas wszystkie zaprowadził do znajomości całej prawdy, byśmy doszły „do bogatego pełnego nadprzyrodzonego życia”.

Orędzie Episkopatu wzywa do zdobywania znajomości zasad katolickich tymi słowy: „Słuchajcie kazań, wykładów, pogadanek religijnych. Uczęszczajcie na Koła studiów i do Katolickich Uniwersytetów Ludowych. Inteligencja może korzystać z kursów wiedzy religijnej, z Tygodni Społecznych, z dorocznego „Studium Katolickiego” i z powstają-

cych Instytutów Wyższej Kultury Religijnej. Czytajcie encykliki papieskie i listy pasterskie swych Biskupów. Zapoznawajcie się z katolicką książką. Zamiast zbiorów literatury lekkiej niech w rodzinach powstają biblioteki religijne i katolickie. W każdym domu powinien być w poszanowaniu i użytku mniejszy czy większy katechizm, jako niedościgniony skrót prawd wiary i zwięzły kodeks życia.

Oto program według którego pragniemy wychowywać, kształtować umysły nasze. Zbyt jałowym są dlań pokarmem nauki przyrodnicze, trzeba mu nauk nadprzyrodzonych.

— — — — —
Prócz tego chodzi o wychowanie woli naszej. „Wychowanie dziecka zaczyna się od wychowania matki”.

Orędzie episkopatu podaje program: „Pożycie wewnętrzne, nadprzyrodzone, mistyczne, pielęgnować należy możliwie codziennym uczestnictwem w Ofierze Mszy św., częstą, a choćby codzienną Komunią św., łączeniem się myślą z Kościołem w ciągu całego roku liturgicznego, modlitwą, rozmyślaniem, rachunkami sumienia, rekolekcjami zamkniętymi, uczynkami z wiary, nieustanną walką ze złem, dążeniem do tego, co lepsze, doskonalsze, więcej ewangeliczne i bardziej Chrystusowe...”

Zatrzymamy się nad ostatnią myślą. Dążenie do tego, co lepsze, doskonalsze, więcej ewangeliczne i bardziej Chrystusowe.

Z zaciszu pewnego hiszpańskiego klasztoru karmelitów bosych wyszła książka, która dwa lata temu przetłumaczona została na język polski. „Świętość Zakonna”, taki jest tytuł książki, zawierającej przepiękny komentarz do słynnych „Przestróg” św. Jana od Krzyża. „Świętość zakonna”. A więc jest w niej o tym, „co lepsze, doskonalsze, więcej ewangeliczne i bardziej Chrystusowe”. „Zakonna?” A więc nie dla nas? O — i dla nas świeckich! Też same w gruncie zasady prowadzą do tego „co lepsze, doskonalsze, więcej ewangeliczne i bardziej Chrystusowe” — i zakony i nas.

Jakie zasady?

Co to jest to „lepsze, doskonalsze, więcej ewangeliczne i bardziej Chrystusowe”, do czego zachęca nas orędzie Episkopatu.

Nasamprzód chodzi o zdobycie miłości doskonałej, tego „kochania kogoś, zamiast „kochania się w kimś”. U Świętych możemy poznać ten rzadki na ziemi klejnot, miłość doskonałą. Taką miłością była miłość św. Franciszka Salezego do św. Joanny z Chantal, opisana tak pięknie w książce ks. Bougaud. Taką była miłość św. Franciszka z Asyżu do św. Klary. Zacytujmy sobie słowa o niej z ostatniej powieści Zofii Kossak „Bez oręża”. Autorka podaje nam rozmowę między św. Franciszkiem a bratem Eliaszem — o Klarze. Brat Eliasz radzi św. Franciszkowi, żeby ożenił się z Klarą, skoro ją tak miłuje.

Mówię poważnie, kochasz się w Klarze, to siężeń...

— Ależ nie kocham się, tylko kocham ją!

— Czy małżeństwo według ciebie jest grzechem?

— Nie, nie, przeciwnie... Jakżeżby? Małżeństwo jest błogosławione... Ale to zestawienie... Ona jest godna Boga jedynie... I ja miałbym na nią podnieść oczy, jako na swoją własność, ja?!

— Jednak chętnie ją widzisz?

— Czemu miałbym nie widywać? Jestem posłem, posłem Pana. Drzę, by jej nic nie skalało, nie odwiodło od ofiarowania się Panu... Piękny byłby ze mnie poseł, gdybym wtenczas o sobie myślał!...

Trudno nam dojść do takiej miłości. Trudno nam nawet wyrobić sobie jej pojęcie. Żeby zdobyć to pojęcie miłości doskonałej, rozczytujemy się w życiorysach świętych i w pismach świętych, a potem, zdobywszy pojęcie miłości doskonałej, dążmy do tego, żeby urzeczywistnić ją we własnym życiu, w stosunku do męża, do dzieci, do służby, do krewnych, do sąsiadów, do wrogów, do wszystkich bliźnich. Oto dziedzina życia nadprzyrodzonego, taka miłość doskonała. Orędzie episkopatu zaleca nam, pielęgnować ją możliwie codziennym uczestnictwem w ofierze mszy św., częstą, a choćby codzienną komunią św., rachunkami sumienia, rozmyślaniami, rekolekcjami, uczynkami z wiary...

Prócz miłości doskonałej zdradza rozwinięte w nas życie nadprzyrodzone nasz stosunek do dóbr tego świata. Św. Teresa nazywa to w swej „Drodze do doskonałości” wyrzeczeniem się.

Lecz czy my, ludzie świeccy możemy „wyrzec” się dóbr tego świata na wzór zakonów żyjących w dobrowolnym zakonnym komunizmie (tak różnym wszakże od źle zrozumianego komunizmu współczesnego państwa bolszewickiego)? My matki musimy dbać o własność, mnożyć zapasy w trosce o tę małą społeczność, jaką powierzył nam Bóg: rodzinę! Tak samo jest obowiązkiem dbać o dobro swego klasztoru każdego przeora, każdej matki przełożonej. A jednak czynią oni to bez chciwości, bez przywiązania do grosza, z zupełnym poddaniem się woli bożej tam, gdzie mimo starań, zapanowało ubóstwo. Tak i my mamy, zarządzając majątkiem swej rodziny, mnożyć go, bez przywiązania do grosza, bez pośpiechu i chciwości w zdobywaniu go, bez smutku i rozpacz w stratach, nawet w ubóstwie. „Bóg dał, Bóg wziął”. Do nas należy spełnić wolę jego z zupełnym poddaniem, tak, jak Job ze Starego Testamentu. Oto jest wyrzeczenie się ludzi świeckich. Posiadać, jakoby się nie posiadało, zarządzając tylko. W ten sposób można z wyrzeczeniem posiadać choćby największe majątki.

Inną cechą rozwijającego się w nas życia nadprzyrodzonego jest pokora. Oto słowo, które niezmiennie często bywa źle rozumiane. Kto źle rozumie słowo „pokora”, każe na przykład o dokonanej pracy, która udała się dobrze, myśleć i mówić, że jest bardzo źle zrobiona. Autor wyżej wymienionej książki o Świętości Zakonnej mówi o tej źle rozumianej pokorze tak: „Choć posiadamy pewne dobre właściwości cnót, czy talentów (a niema przecież nikogo, co by ich w pewnej mierze nie miało), myślimy i mówmy, że ani zdolności, ani zalet nie mamy. Tak więc to wyrażenie, mające wypowiadać cnotę ukochaną przez Pana Jezusa, dziedzictwo wszystkich wielkich duchów, dla wielu stała się równoznacznikiem koślawej hipokryzji, tak bardzo wstrętnej duszom prawym i szczerym”. Czymże jest tedy prawdziwa pokora? Mieć prawdziwą pokorę, to znaczy, uznać, że jestem prochem i niczym wobec Pana Boga. „Ludzki gnój” jak mówią święci. Wszystko dobre, co jest we mnie, zawdzięczać Bogu. Przecież ani ciało moje, tak cudownie utworzone i tak cu-

downie działające, nie jest moim dziełem i moją zasługą — ani żadna myśl, jaką Bóg we mnie poruszył. Wszystko jest boże. Pan Bóg daje, żebym chciała i żebym wykonała. Więc pokora jest po prostu prawdą, jak mówi św. Teresa. Bo przecież kłamstwem jest, jeżeli pysznię się z urody, czy umiejętności jakiejś, bo to nie moja zasługa, ale Pan Bóg to dał. Sama ze siebie nic nie mam i nic nie posiadam. Do pokory należy także przeświadczenie, że niezmiernie wielki jest Bóg, a ja sama znowu w porównaniu z Nim — niczym, proch i „ludzki gnój”. Do istoty pokory należy także niewywyższanie się ponad innych ludzi. Wiem, co mi dał Bóg, nie wiem co im dał Bóg. A może oni z moim zapasem darów bożych więcej dokonali, aniżeli ja z większym swoim zapasem? Pozory mylą.

Oto pokora. Uznać, że Bóg jest wszystkim. Ja niczym.

Znajomość wiary, miłość doskonała, wyrzeczenie się i pokora — słowem pielęgnowanie w sobie życia nadprzyrodzonego — oto nad czym pracuje nowa matka, pragnąca brać udział w walce o odrodzenie świata. Z pogan współczesnych „z ochrzczonych pogan”, jak mówi Zofia Kossak, pragnie zrobić prawdziwych chrześcijan, zaczynając tę zbożną pracę — od siebie. Dając siebie, odrodzoną, już nie „ochrzczonej poganke”, ale prawdziwą chrześcijankę, swojej rodzinie — odradza ją, odradza całe społeczeństwo.

K.

BOLĄCZKI POLSKIEJ WSI

Polska w większości swej ludności jest krajem rolniczym. Według spisu z r. 1931 mamy w stosunku do ogółu ludności zajętej w rolnictwie, leśnictwie, hodowli i ogrodnictwie ludności 60,9%. Jakkolwiek więc od r. 1921 ludność rolnicza się nieco zmniejszyła — było wtedy jeszcze 65,6% ludności rolniczej — to jednak należy Polska do krajów o najbardziej rozwiniętym rolnictwie, niewiele jest w Europie państw wykazujących większy % ludności rolniczej. Wynika z tego szczególne znaczenie dla Polski rolnictwa a w dalszym następstwie i szczególne znaczenie wsi, jako że przecież rolnictwo wyłącznie niemal wieś ogarnia. I dlatego też, o ile chodzi o stosunki gospodarcze, stan rolnictwa, stan wsi wywiera przeważający wpływ na ogólne położenie gospodarcze kraju. Znaczy to, że od pomyślności wsi polskiej w głównej mierze zależy pomyślność gospodarcza całej Polski.

Z tych to względów stan wsi obchodzić winien nie tylko tych, co w niej mieszkają, co z rolnictwa żyją, nie tylko władze, których obowiązkiem jest otaczać opieką wszystkie dziedziny gospodarstwa narodowego, ale także ogół społeczeństwa, a więc i tych, co w mieście żyją, co się trudnią handlem, rzemiosłem, co w fabrykach pracują oraz w biurach głowy i ręce swe męczą. I też rzeczywiście ci wszyscy na własnej skórze odczuwają, jak tam na wsi u nas wygląda. Na ogół bowiem z wielkimi trudnościami gospodarczymi, materialnymi musimy jeszcze wszyscy walczyć. A jest to w wielkiej mierze wywołane tymi bolączkami, jakie naszą polską wieś trapią i dręczą. Rzeczywista i stała poprawa gospodarcza w Polsce zależy głównie od usunięcia tych

wszystkich niedomagań i braków w rolnictwie. Sporo zaś jest tych bolączek, jak się o tym niebawem przekonamy.

Nasamprzód mamy u nas na wsi wielkie przeludnienie. Uczni rozchodzą się wprowadzić w poglądy swych co do rozmiarów przeludnienia. Jedni obliczają, że ten nadmiar wynosi 5 do 6 milionów osób, inni zaś, że 8—10 milionów. W każdym razie jednak nie ulega wątpliwości, że na wsi mamy stanowczo za wiele ludności. W poszczególnych województwach różnie pod tym względem wygląda. W województwach poznańskim i pomorskim, jak obliczenia zdawają się mówić, na wsi za wiele ludności nie ma, gdy zaś w małopolskich województwach bardzo jest ciasno, tak że jedni na drugich, o ile tak można powiedzieć, siedzą. W każdym razie jest polska wieś najbardziej zaludniona w Europie.

To przeludnienie ma nasamprzód swą przyczyną w tym, że ludność ze wsi nie upływała dostatecznie a obecnie bardzo wężutkim tylko strumieniem upływa do miasta, do przemysłu, handlu i innych gałęzi gospodarczych, opartych o środowisko miejskie. Z jednej bowiem strony w Małopolsce a częściowo i w b. Kongresówce przed wojną światową przemysł niewiele wchłaniać mógł tej ludności wiejskiej, która się dusiła w ciasnocie wielkiej, handel zaś niemal zupełnie żydowski też jej nie przyjmował, z drugiej zaś strony po ukończonej wojnie i po odzyskaniu niepodległości ogólny stan gospodarczy miasto niejako zupełnie zamknął dla wsi. Skutkiem tego ludność wiejska rozrosła się nadmiernie w stosunku do miejsca, jakie tam dla niej jest. Bo gruntów, ziemi żadną sztuką pomnożyć nie można.

Do tego dochodzi jeszcze nadzwyczajne rozdrobnienie własności włościańskiej, chłopskiej. Mamy bowiem w Polsce w niektórych szczególnie województwach bardzo wielkie ilości gospodarstw karłowatych, drobnuteńkich, które tworzą jedyne źródło zarobkowania dla swych dzierżycieli. Naturalnie ci, co na tego rodzaju gospodarstwach siedzą, cierpią wielką biedę, o ile w jakimś pobliskim dworze nie znajdą trochę pracy, też skąpo zresztą opłacanej, lub władze jakichś robót publicznych nie przeprowadzają! I te drobnuteńkie gospodarstwa jeszcze dalej się dzielą przy sposobności spadków rodzinnych. W tych warunkach bardzo źle musi na wsi wyglądać. Żeby przynajmniej gospodarstwa takie stały na wysokości wydajności, lecz do tego przeważnie jest bardzo daleko, jak o tym będziemy później mówili.

Z drugiej strony jest w Polsce, jak rzadko w którym kraju, rozpowszechniony folwark dworski. Gdy na zachodzie Europy taki folwark jest już rzadkością, to u nas odgrywa on jeszcze bardzo wielką rolę. Według spisu z r. 1921, kiedy to przeprowadzano pierwszy a dotychczas jedyny w zjednoczonej Polsce spis gospodarstw rolnych, z ogólnego obszaru gruntów posiadała wielka własność, tj. wynosząca ponad 100 ha, niemal połowę, bo 44,8%. I znów są pod tym względem wielkie różnice w poszczególnych dzielnicach. Najwięcej takiej wielkiej własności posiadały województwa zachodnie, tj. Poznańskie i Pomorze, bo obejmowała ona tam przeszło połowę ogólnego obszaru ziemi, tj. 51,6%, i województwa wschodnie, gdzie również 52% całej jej powierzchni tworzyła, gdy najmniej w województwach centralnych, tj. w b. Kon-

gresówce, gdzie jej było tylko 35,4%. W tych 17 latach, jakie nas dzieli obecnie od owego spisu z r. 1921, wiele się jednak pod tym względem zmieniło. W międzyczasie bowiem bardzo wiele już wielkiej własności rozparcelowano, dobrowolnie i drogą przymusu — na mocy ustawy o reformie rolnej z 28. 12. 1925 r. Tak rozparcelowano w latach 1919—1936 już przeszło 2 400 000 ha wielkiej własności, z czego utworzono blisko 140 000 gospodarstw samodzielnych, powiększono przeszło 450 000 gospodarstw drobnych oraz utworzono przeszło 67 000 parcel robotniczych i urzędniczych. Najwięcej okrojono przez parcelację wielką własność w województwach zachodnich, jako że było czy jest jej tam najwięcej poza województwami wschodnimi. Województwa zachodnie mają jeszcze tę właściwość, że posiadają najwięcej służby folwarcznej.

Rozpowszechnienie folwarków nie jest jeszcze samo w sobie bolączką. W województwach zachodnich mamy bowiem najwięcej folwarków, a jednak nie odczuwa się tam w dotkliwy sposób tej przewagi wielkiej własności. Tymczasem w województwach południowych jest folwarków znacznie mniej, gdy tymczasem panuje tam straszny głód ziemi i ogromne przeludnienie wsi. Tłumaczy się to tym, iż w województwach zachodnich obok folwarków mamy jeszcze wiele średnich i większych gospodarstw włościańskich, w Małopolsce zaś tego rodzaju gospodarstwa są w znacznej mniejszości wobec posiadłości karłowatych i małych, z natury rzeczy nie wystarczających na utrzymanie ich właścicieli.

Poza tym trzeba brać jeszcze pod uwagę także pewne dobre strony folwarku. Folwark prowadzi na ogół lepszą gospodarkę rolną, jego ziemie są w większej kulturze. Mała więc własność ma czy może mieć w folwarku przykład właściwego gospodarowania i uczyć się odeń. Dla państwa ma i ten wzgląd jeszcze wielkie znaczenie, że folwark wytwarza więcej zbóż niż drobna uprawa, może więc skutkiem tego lepiej zabezpieczyć i zaopatrzyć wojsko i ludność w żywność w czasie wojny.

Niezdrowy układ stosunków własnościowych na wsi polskiej i jej przeludnienie nie dawałyby się jeszcze tak dotkliwie odczuwać, gdyby rolnictwo nasze było więcej wydajne, czyli stało na wyższym poziomie. Bo niestety musimy przyznać, że to nasze rolnictwo jest dość zacofane w stosunku do innych krajów pod względem uprawy roli a skutkiem tego pozostaje daleko w tyle poza nimi co do swej wydajności. Jesteśmy na jednym z ostatnich miejsc, o ile chodzi o ilość zbiorów z 1 ha. W sposobach uprawy ziemi, nawożenia jej, regulowania jej wilgotności, używania odpowiednich narzędzi i maszyn inne kraje stoją znacznie wyżej od nas i skutkiem tego mają też o wiele lepsze zbiory. A nawet w województwach zachodnich, gdzie kultura rolna stała dość wysoko przed wojną, i gdzie mieliśmy stosunkowo wcale dobre plony, teraz po wojnie cofnęliśmy się. Z drugiej jednak strony właśnie w ostatnich latach wydajność rolnictwa w innych częściach Polski dość pokaźnie wzrosła. Mimo tej pewnej poprawy jednak jeszcze bardzo wiele musimy uczynić w dziedzinie kultury rolnej. I właśnie jest to jedna z największych bolączek wsi, że mamy znacznie więcej ludności, siedzącej na gruntach a zbieramy z tych gruntów stanowczo mniej niż nasi bliżsi i dalsi sąsiedzi. Mniej byłoby nędzy w polskiej wsi, gdy-

byśmy zdołali podnieść wydajność naszego rolnictwa do tego samego poziomu, co w państwach Europy zachodniej.

Na tę niską stosunkowo wydajność naszej gospodarki rolnej wywierają dość wielki wpływ szachownice, jakie jeszcze istnieją na gruntach u nas. Szachownica polega mianowicie na podziale gospodarstwa rolnego na kilka czy kilkanaście parcel nie łączących się z sobą. I otóż u nas w Polsce poza b. dzielnicą pruską była szachownica bardzo rozpowszechniona. Spis gospodarstw z r. 1921 wykazywał, że wówczas 46,8% gospodarstw włościańskich posiadało szachownicę. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że jak już zaznaczyliśmy, w b. dzielnicy pruskiej nie ma wcale szachownic, bo zniesiono je przed mniej więcej 100 laty z okazji uwłaszczenia włościan, to stosunek ten dla innych części Polski o wiele gorzej nam się przedstawia. Tu mamy więc bardzo wiele gospodarstw włościańskich rozkawałkowanych na kilka parcel, 6, 10, 15, 20 a nawet spotyka czy spotykało się gospodarstwa o 40 i więcej parcelach. Naturalnie na takich posiadłościach gospodarzy się bardzo źle, bo nasamprzód traci się bardzo wiele czasu na dojeżdżanie czy dochodzenie z jednej parceli do drugiej, trudny jest w ogóle dostęp do poszczególnych parcel, a poza tym uprawa ich naraża szereg poważnych niedogodności. To wszystko sprawia, że szachownica oddziałuje bardzo ujemnie na wydajność polskiego rolnictwa. Chwała Bogu, pod tym względem od roku 1921 stosunki się już znacznie poprawiły, bo mamy ustawę z lipca 1923, na mocy której przeprowadza się energicznie scalenie czyli tzw. komasację gruntów. Do stycznia 1938 scalono już 5 milionów ha gruntów, pozostaje zaś jeszcze do scalenia około 7 milionów ha.

Jeszcze jedna pozostałość z dawnych czasów zaznacza się szkodliwie na wydajności gospodarki rolnej u nas. Są to tzw. serwituty. Istota tych serwitutów polega na prawie włościan do paszenia bydła na pastwiskach dworskich, do zabierania z lasów dworskich ściółki, gałęzi suchych itd. Taki rezultat niepomiarne utrudnia dworowi gospodarke, bo nie pozwala na przeprowadzenie koniecznych ulepszeń pastwisk i łąk, utrzymanie lasów w odpowiedniej kulturze. Skutkiem tego upada wydajność folwarku, obciążonego takim serwitutem. Poza tym za czasów niewoli te serwituty doprowadziły do ogromnego zaognienia stosunków między dworem a wsią w b. Kongresówce, bo dawały zawsze sposobność do zaciętych sporów. Zaznaczyć przy tym trzeba, że w Małopolsce i b. dzielnicy pruskiej serwitutów nie ma, bo je już dawno zniesiono. I sprawę serwitutów stara się załatwić osobna polska ustawa, a mianowicie z maja 1920. Na mocy tej ustawy zlikwidowano od r. 1919—1936 serwituty odnośnie do przeszło 260 000 gospodarstw.

Wielkim niedomaganiem polskiego rolnictwa jest niska stosunkowo i niestała cena na płody. W ostatnich kilkunastu miesiącach wprowadzie poszły ceny znacznie w górę, lecz przedtem przez kilka lat utrzymywały się na poziomie prawie zupełnej nieopłacalności gospodarstwa. A w rolnictwie nie jest tak, jak w przemyśle, gdzie niską cenę można wyrównać powiększeniem wytwórczości i rozprzedaży. Rolnik ma możliwość powiększenia swej wytwórczości bardzo ograniczoną i to jeszcze kosztem wielkich wydatków, tak iż mu się nawet często nie opłaca wca-

le silić się na większą wydajność gospodarstwa. Skutkiem tego też w ostatnich latach rolnictwo polskie bardzo zubożało. Miało to w następstwie jego wielkie zadłużenie. Państwo musiało skutkiem tego wydać osobne ustawy i inne przepisy prawne, by je uchronić od zupełnego upadku. Są to tzw. ustawy oddłużeniowe, które rozkładają spłaty długów rolniczych na długie lata, częściowo je zmniejszają, jako też obniżają stopę procentową. Do tego dochodzi jeszcze i ten szczegół, iż ceny na płody rolnicze bardzo są niestałe, ciągle się wahają, to idą w górą, to spadają. Utrudnia to bardzo rolnikowi rozsądną gospodarkę, należyte przeprowadzenie kalkulacji gospodarczej, uczy go ryzykować, co nie bardzo dobrze nań oddziałowuje.

Rolnicze gospodarstwo prowadzone należycie wymaga wielkich nakładów pieniężnych. Te nakłady jednak zwracają się bardzo powoli, znacznie powolniej niż w innych działach gospodarstwa społecznego, jak np. w przemyśle. Wynikiem tego jest wielkie zapotrzebowanie w rolnictwie kredytu, zwłaszcza długoterminowego. Tymczasem, jak wiadomo, pieniądza wolnego jest w Polsce jeszcze bardzo mało, tym więcej, że dwukrotna dewaluacja, zwłaszcza pierwsza, markowa, prawie doszczętnie kapitały pieniężne zniszczyła i tylko powoli można je odbudowywać. Skutkiem tego jest o kredyt bardzo trudno. Na skutek zaś ustaw oddłużeniowych obecnie rolnikowi nikt nie chce udzielać kredytu. Dotkliwie odczuwa to rolnictwo.

Oto najważniejsze bolączki polskiej wsi jako tego naturalnego ośrodka rolnictwa. Są one, w wielkiej mierze jako dzieło niewoli, źródłem licznych trudności gospodarczych naszego państwa. Lecz trzeba mieć nadzieję, że naród polski, co zdołał w ciężkim zmaganiu z rozlicznymi przeciwnościami i w krwawych, choć czasem niepomysłnych walkach odzyskać wolność i się w jednym znów państwie zjednoczyć, tym łatwiej i w tej dziedzinie da sobie całkowicie radę.

Jako tom I

„Wydawnictwa Rady Społecznej przy Prymasie Polski“

ukazała się:

ENCYKLIKA „QUADRAGESIMO ANNO“

W ŁACIŃSKIM TEKŚCIE I POLSKIM TŁUMACZENIU

KS. DR PIWOWARCZYKA

WRAZ Z KOMENTARZEM TEGOŻ AUTORA

SŁOWO WSTĘPNE NAPISAŁ J. EMINENCJA KS.
KARDYNAŁ-PRYMAS

STRON 149

CENA ZŁ 3,30

SKŁAD GŁÓWNY

W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

DO NABYCIA

W WSZYSTKICH WIĘKSZYCH KSIĘGARNIACH ORAZ PRZEZ
ADMINISTRACJĘ „PRZEWODNIKA SPOŁECZNEGO“

czas. 109

Biblioteka Uniwersytetu
MARIII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

10927 19

CZASOPISMA

1938

DRUKARNIA I KS ŚW. WOJCIECHA

W POZNANIU
PL. WOLNOŚCI NR 1

p o l e c a :

ADAMSKI S. X. Bp. Parafialna Akcja Katolicka. Str. 45	1.20
ADAMSKI W. X. Kultura i jej dziedziny Str. 83	1.50
ATLAS MISJI KATOLICKICH. Opracował X. Dr Świderski pod kierunkiem X. Bpa J. Nowowiejskiego. Tekst opisowy str. 33 i 21 tablic podwójnych z mapami	12.—
CZUMA J. Sprawiedliwość i miłość jako zasady chrześcijańskiego ustroju społecznego. Str. 20	0.60
GIERTYCH J. My nowe pokolenie, Wyd. II. str. 164	3.—
HALBAN L. Dr. Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach Str. 153	2.—
JASIŃSKI W. X. Dr. O katolicką szkołę w Polsce. Str.	2.—
KATOLICKA MYŚL SPOŁECZNA. Pamiętnik (i referaty) III Katolickiego Studium w Warszawie 1937 r. Str. 458	12.50
KONIECZNY J. Problemy stanu robotniczego a katolickie postulaty spo- łeczne. Str. 19	0.50
KOWALSKI K. X. Dr. Katolickie plany reformy społecznej a ustrój rolny w Polsce. Str. 15	0.50
MACHAJ F. X. Dr. Zagadnienie duszpasterskie ludzi świeckich. Wyd. II, str. 246	4.—
NIESIOŁOWSKI A. DR. Katolicyzm a totalizm. Str. 112	1.75
O SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ (T-wo Wiedzy Chrześc.) Str. 52	1.30
PASTUSZKA J. X. DR. Filozoficzne i społeczne idee A. Hitlera (rasizm). Str. 91	1.50
PROHASZKA O. Bp. Aktualne zadania katolicyzmu. Str. 63	1.—
ŚWIĘCICKI J. B. Unia krajów chrześcijańskich. Str. 276	3.—
WYSZYŃSKI S. X. Dr. Problemy moralno-religijne pod wpływem bezro- bocia. Str. 142	2.—
Pamiętnik Międzynarodowego Kongresu Chrystusa Króla w Poznaniu 25—29. VI. 37 r. i Zjazdu Katolickiego Archid. Gnieźn.-Pozn. (z resumé francuskim i niemieckim) Str. 350	10.—
PIWOWARCZYK J. X. DR. Katolicyzm a reforma rolna. Str. 36	0.50
WROTHY-KLIMOWICZOWA K. Tajemnica człowieczeństwa. Studium filozoficzno-społeczne. TREŚĆ: Wstęp. — Stanowisko nauki. — Świa- domość religijna. — Jezus Chrystus. Str. 150	2.50

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

kompletuje i uzupełnia z całą zawodową znajomością rzeczy biblioteki Akcji
Katolickiej, parafialne, stowarzyszeniowe, domowe i specjalne. — Wszelkie ka-
talogi i prospekty wysyła gratis i franko. Ekspedycja staranna — szybka i dokładna.

P. K. O. nr 200.032.

Telefon 3613 — 3614.

Adres telegraf. „Albertinum” Poznań.